



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

LIPIEC - SIERPIEŃ
1994

4 (21) 1994

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO—WSCHODNICH • WROCŁAW



Oświadczenie	1
DANUTA NESPIAK	
Pytania na razie bez odpowiedzi	2
JERZY MASIOR	
„Burza” i wokół niej	4
ANTONI KORAB	
Ułanom Jazowieckim w 75 rocznicę bitwy pod Jazłowcem	6
MAREK ZAKRZEWSKI	
Fragment akcji „Burza” we Lwowie	10
LESZEK SAWICKI	
Akcja „BURZA” we wspomnieniach. Dziesięć lipcowych dni 1944 roku	12
ADAM GAJDA	
Łyczakowska czternastka	18
JERZY ADAMEK	
Z przebiegu operacji „Burza” na Lewandówce	20
Lwów — Kościejów — Stanisłówka	21
ANDRZEJ KWIATKOWSKI	
Rodzina kresowa	22
JERZY ZIELIŃSKI	
Dziennikarze i politycy lwowscy lat trzydziestych XX w. (wspomnienia)	24
AGNIESZKA MARSZAŁEK	
Teatr polski w budynku skarbkowskim (1842-1899)	27
BRONISŁAW SZEREMETA	
Spór o ppłk. Macielińskiego	33
DANUTA TABIŃSKA-JUHASZ	
Węgier, Polak dwa bratanki czyli my na Węgrzech	37
MARIA SAWICKA	
W sanatorium.	40

Redaguje Kolegium w składzie: Krzysztof Bulzacki, Andrzej Chlipalski, Wiesława Jeleńska-Hombek, Andrzej Kaminski, Danuta Kotowicz, Danuta Nespiak, Zdzisław Ojrzyński, Danuta Śliwińska, Danuta Tabińska-Juhasz, Jan Ziembicki

Redakcja: Zdzisław Ojrzyński — redaktor naczelny, Danuta Nespiak

Adres Redakcji: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Wrocław, Rynek-Ratusz 7/9 tel. 44-88-93.

Wydawca: Fundacja Kresowa „SEMPER FIDELIS” — PKO IV O/Wrocław
Nr 93549-10012-132-3

Prezes Fundacji Danuta Tabińska-Juhasz

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych

Na okładce: Sztandar 14 p. UJ-AK

OŚWIADCZENIE

Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oraz Prezesi Oddziałów i Klubów zgromadzeni 26 czerwca br. na ogólnopolskim Zjeździe w Bydgoszczy zwracają się do Prezydenta RP i Premiera Rządu Polskiego o powołanie urzędu Pełnomocnika Rządu d/s Polaków i Polskiego Dziedzictwa Kulturowego na Wschodzie.

Nieustabilizowana sytuacja polityczna i ekonomiczna na obszarze byłego Związku Radzieckiego, grożąca nadal walkami zbrojnymi na tle etnicznym, stanowi potencjalne niebezpieczeństwo dla naszych Rodaków oraz dla pozostawionego tam polskiego dziedzictwa kulturowego, wśród którego znajdują się obiekty o europejskim znaczeniu.

Działające w kraju struktury zajmujące się sprawami Polaków na Wschodzie, które są zlokalizowane w Urzędzie Rady Ministrów, Ministerstwie Kultury i Sztuki, Sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa nie prowadzą w sumie zsynchronizowanych i skoordynowanych prac. Dotyczy to również działań Pełnomocnika Rządu d/s Polskiego Dziedzictwa Kulturowego Za Granicą, którego starania np. w zakresie odzyskania zbiorów ossolińskich albo nie miały wogóle miejsca, albo opinia społeczna nie jest na ten temat informowana.

W polityce wschodniej kolejnych rządów nie podjęto żadnych rozwiązań w sprawie uznania praw Polaków, obywateli II RP, którzy zamieszkują nadal Litwę i były Kresy Wschodnie **do przywrócenia im polskiego obywatelstwa, którego się przecież nigdy dobrowolnie nie zrzekli, a które odebrał im okupant sowiecki.**

W traktatach międzynarodowych, jakie zawarto po 1989 roku z krajami ościennymi strona polska zaniedbała pełnego zabezpieczenia praw mniejszości polskiej na dawnych Kresach Wschodnich. Okoliczności te wywołują zrozumiałą dezaprobatę środowisk kresowych w Polsce. Oficjalne oświadczenia przedstawicieli władz dotyczące Polaków w Kazachstanie — ofiar nieludzkiej akcji przesiedleńczej lat 30-tych na Ukrainie oraz resztek Rodaków deportowanych tam po 17 września 1939 roku, negujące możliwości zorganizowania repatriacji do Ojczyzny, wzbudza nasz głęboki niepokój i moralny sprzeciw.

Protestujemy przeciwko traktowaniu naszych Rodaków za wschodnią granicą jako kłopotliwych cudzoziemców dla których nie ma miejsc

ca w Ojczyźnie bo brak jest pokrycia finansowego na ten cel. W tym kontekście podajemy osądowi opinii społecznej następujące fakty: budżet państwa finansuje działalność kulturalną mniejszości narodowych sięgający w b.r. kwoty 10 mld 540 milionów złotych. Wypłaca się również ogromne sumy licznym grupom zachodnich ekspertów, a nie podejmuje się efektywnych starań o to, żeby do budżetu państwa wpływały miliardowe kwoty podatków z nieujawnionej działalności gospodarczej.

Tłumaczenie, że w obecnej sytuacji ekonomicznej Polskę nie stać na zorganizowaną repatriację kazachstańskich Polaków jest niechlubną ucieczką od problemu. A problem ten mimo dużego wysiłku prawno-organizacyjnego i finansowego musi być podjęty.

Półśrodki, które narazie proponował rząd zdejmując z siebie odpowiedzialność i ciężar finansowy i przerzucając to na dobrą wolę gmin, jest wygodnym rozwiązaniem dla rządu i parlamentu oraz dowodem ich obojętności i egoizmu.

Dla rozwiązania trudnych spraw środowisk polskich na Litwie, Białorusi, Ukrainie i w innych byłych republikach sowieckich domagamy się **powołania Pełnomocnika Rządu d/s Polaków na Wschodzie**, kierującego specjalnym urzędem który skoordynuje inicjatywy i działania podejmowane licznie i ofiarnie również przez organizacje kresowe i grupy nieformalne bazujące tylko na ofiarności społecznej. Ale są one rozproszone po całym kraju i wiele wysiłków daje niewielkie efekty. Kandydaci na ten urząd **winni być zaopiniowani również przez towarzystwa kresowe.**

Zaznaczamy jednocześnie, że jesteśmy zdecydowanie przeciwni by powstał nowy, obrastający wygodnymi etatami stołeczny, biurokratyczny twór. Chodzi nam o centrum (nie koniecznie w stolicy) skupiający odpowiedzialnych moralnie i merytorycznie ludzi, wyposażonych w odpowiednie kompetencje i posiadających taki stosunek do środowisk polskich na Wschodzie i pozostawionego tam polskiego dziedzictwa kulturowego by stanowiło to dowód, że Polska była jest i będzie zawsze krajem europejskim i państwem, które kiedyś mogło służyć przykładem tolerancji religijnej i narodowej.

Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
i Prezesi Oddziałów i Klubów w Polsce

DANUTA NESPIAK

Pytania na razie bez odpowiedzi

Kiedy Prezydent naszej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej zaprosił na tegoroczne obchody 50 rocznicy operacji „Burza” w Warszawie przedstawiciele najwyższych władz obu państw, które kiedyś zadały śmiertelny cios II RP, jedni temu przyklasnęli, jedni protestują, jednym jest to zupełnie obojętne. Nie wątpię, że zadba się o to by ta rocznica wypadła jak najokazalej bo przy okazji uczczenia bohaterstwa i tragedii Powstańców Warszawskich można również wzbogacić i uwiarygodnić swój publiczny wizerunek — a miejsca dla rządu, parlamentu, dostojnych gości a także uczestników Powstania i ludu Warszawy będzie napewno tak dużo, że nie powtórzy się hańba polskiego dnia na Monte Cassino.

Parę dni po tej rocznicy rozmawiałam z panem Jerzym Bacmińskim — lwowianinem z USA po jego powrocie z uroczystości w Cassino. „Przywieźliśmy ze sobą ogromny białoczerwony wieniec od kombatan-tów polskich ze stanu Nowy Jork. Nie puścili nas na cmentarz, choć mieliśmy przepustki wykupione w Nowym Jorku. Był z nami jeden pułkownik z Nowej Zelandii, też kresowiak, w klapie miał Virtuti Militari, a jego brat leży na Monte Cassino” — opowiadał mi ze łzami w oczach. Dopiero później dostałam nową wersję „Maków pod Monte Cassino” i nie mogłam mu zacytować choćby tych fragmentów (autor Ryszard Motas):

*Czy widzisz ten rząd białych krzyży
nie widzę, zasłania je rząd,
co stanął tu w pierwszym szeregu
bo Niemiec daleko jest stąd.*

*Czy widzisz ten las siwych włosów
te twarze zorane przez czas,
to obraz żołnierskich jest losów
historia zadzwila znów z Was.*

Zadzwila nie historia, zlekceważył ich polski Parnas rządowo-parlamentarny.

Zadaje pytanie czy przy okazji Wielkiej Warszawskiej Roczniczy oficjalnie uczci się również 50-lecie największej zbrojnej operacji wojskowej podjętej przez Armię Krajową, która przecież obejmuje wszystkie działania operacji „Burza”. Trwały one od pierwszych tygodni stycznia 1944 roku tj. od wkroczenia wojsk sowieckich w granice Polski (okolice Rokitna na wschód od Sarn) do października tegoż roku. Działania te przed wybuchem Powstania Warszawskiego objęły Wołyń, Wileńszczyznę, Nowogródczyznę, Podlasie i Małopolskę Wschodnią a akcje AK we Lwowie były trudniejsze, bo miała przeciw sobie (podobnie jak na Wołyniu) nie tylko Niemców lecz i nacjonalistów ukraińskich. Wierzę, że ceremonia warszawskich uroczystości nie przytłumi prawdziwych treści ideowych 50 rocznicy Powstania Warszawskiego.

Transformacje polityczno-gospodarcze i społeczne w Polsce po 1989 roku w swoich etapach, odpływach i przepływach wyniosły na rozmaite szczeble władzy od parlamentu i rządu poprzez województwa i gminy i takich, którzy, gdyby nie solidarnościowy „gniew ludu” do dzisiaj udawaliby, że reformują najlepszy z ustrojów — realny socjalizm. I ktoś taki a nie np. żołnierz z 12 pułku Ułanów Podolskich zajął, nie jemu należne, miejsce na uroczystościach pod Monte Cassino.

Mamy teraz również orędowników spraw i praw Polaków na Wschodzie — tych autentycznych oddanych całym sercem i tych co mogliby dalej reformować socjalizm, jeżeli taki byłby czas. Organizowane są zjazdy, konferencje, spotkania. Niektóre zresztą nałożyły się w czasie na siebie. Między 5-10 czerwca br. odbyło się II Światowe Forum Prasy Polonijnej w Tarnowie (organizatorem był Wojewódzki Ośrodek Kultury) a patronat przyjęli Marszałek Senatu RP, Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz Wojewoda Tarnowski. Organizacja Forum była imponująca, a wziął w nim udział spora grupa (39 osób) dziennikarzy i rodaków ze Wschodu, związanych z polską edycją prasy, radia i telewizji. W tym samym nieomal czasie bo od 6-9 czerwca odbyło się spotkanie polsko-ukraińskie w Podkowie Leśnej pt. „Polacy — Ukraińcy 1918-1948. Trudne pytania.” Organizatorem było Forum Europy Środkowo-Wschodniej przy Fundacji im. Stefana Batorego oraz Ośrodek „Karta”.

Na Forum Tarnowskim zwróciłam uwagę na piękną polszczyznę Aleksandra Lewińskiego. Jego dziadkowie zostali deportowani jeszcze w 1919 roku do Uzbekistanu. Tu już urodziła się jego matka (ojciec pochodził z Gorlic) która w tym morzu azjatyckiej kultury uzbeckiej przekazała jednemu synowi tożsamość narodową i ojczysty język. 34-letni Lewiński jest spikerem-redaktorem polskiego okienka w Telewizji Uzbeckiej w Taszkencie (mieszka tam około 1200 Polaków). Ma dwoje małych dzieci, a żona to drugie pokolenie wywiezionej w 1940 roku polskiej rodziny z Wołynia. Do kogo mam skierować pytanie: Aleksander Lewiński z rodziną marzy o powrocie do ziemi ojczystej swoich dziadków — do Polski, kto mu w tym pomoże?

Wśród uczestników Forum ogólną uwagę zwracała piękna, smukła Maria Ramiszewi z Tyflisu. Rodzice jej babki zostali wysiedleni po Powstaniu Styczniowym. Babka Marii wyszła za mąż za Ormianina, posiadającego tytuł książy Jakuba Malik-Wachtaniana. Po ślubie w Kijowie młoda para wyjechała aż do Gruzji, do Tyflisu. Maria dzięki babce, posiada bardzo dobrą znajomość języka polskiego, a doktorat na uniwersytecie w Tyflisie uzyskała za pracę o związkach kulturalnych i literackich polsko-gruzyńskich w XIX i XX wieku.

To naturalne garnięcie się do kultury polskiej było odczuwalne wyraźnie w rozmowach z Rodakami ze

Wschodu. Oczywiście byli na Forum nasi Polacy ze Lwowa reprezentujący tym razem Gazetę Lwowską – Stanisław Czerkas, Marian Szarybura oraz Krzysztof Szymański.

Część programu Forum poświęcona była warsztatom dziennikarskiemu i organizacji pracy redakcyjnej. Omawiał te zagadnienia między innymi redaktor Stefan Bratkowski, który wyraził pogląd, że najlepszą informację o Polsce, sprawach polityczno-społecznych dziennikarze polonijni winni czerpać z Gazety Wyborczej, tygodnika Wprost i Rzeczypospolitej, która choć rzetelna jest trochę nudna, a sztandarowym pismem inteligentkiego środowiska katolickiego jest Tygodnik Powszechny. Ani słowem ten honorowy Przewodniczący Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich nie wspomniał o prasie reprezentującej inną opcję, która przecież w Polsce wychodzi i która nie dewaluuje takich wartości jak tożsamość narodowa, patriotyzm, tradycja, dziedzictwo kulturalne polskie, która o tym pozostawionym na Wschodzie niszczone i niszczącym bogactwie narodowym informuje i przypomina. Zabrakło na Forum Tarnowskiemu głosu obiektywnego doradcy, który wymieniliby z prasy katolickiej również „Ład” czy „Słowo”. „Dziennik Katolicki” z wkładką Kresową, a ta pojawiła się też, co należy stwierdzić z dużym zadowoleniem, w „Myśli Polskiej” (tygodnik poświęcony życiu i kulturze narodu) i nosi tytuł „Myśl Polska o Kresach”.

Czy Gazeta Wyborcza i jej specyficzna „europejskość” oraz edukacja społeczeństwa zamieszkującego w granicach jałtańskich unowocześnionych „dodatkowo przez euroregiony, która polega na tym, że ma być ono otwarte, laickie, tolerancyjne zwłaszcza dla mniejszości seksualnych, jest akurat najbardziej polecenia godnym organem prasowym dla naszych Rodaków ze Wschodu?

Spotkanie polsko-ukraińskie w Podkowie Leśnej miało w założeniu organizatorów wypracować ekspertyzę dokonaną przez przedstawicieli obu stron, dotyczącą najtrudniejszych okresów historii Polaków i Ukraińców w XX wieku. Zakończyło się wydaniem wspólnego komunikatu (pierwsza jego wersja została odrzucona przez obie strony). W oficjalnym druku zaproszenia na to spotkanie, które otrzymał Zarząd Główny TML i KPW zabrakło informacji przy nazwiskach referentów jakie ośrodki naukowo-badawcze reprezentują.

O ile przedstawiciele strony polskiej są znani w kraju środowiskom zainteresowanym tą problematyką, i tutaj nota nie była tak potrzebna, o tyle o historiach ukraińskich (poza kręgiem profesjonalistów w Polsce) i ich naukowej proveniencji dowiedzieć się można dopiero ze wspólnego komunikatu.

Przy tego typu spotkaniach wydaje się, że ogromnie ważny jest rodowód ideowo-naukowy stron, gdyż interpretacja źródeł i faktów, jak nauczyła nas historia stosunków polsko-ukraińskich, przy zachowaniu pozorów obiektywizmu, jakże często podporządkowana była prerogatywie politycznej – np. ocena akcji Wisła czy ludobójstwo obywateli polskich na Kresach Wschodnich. Znalazło to wyraz na tym spotkaniu w wypowiedziach historyków ukraińskich. Eugeniusz Misiło (Archiwum Ukraińskie Warszawa) stwierdził, że przesiedlenia i więzienie Ukraińców w Jaworznie

były formą ludobójstwa. Nawet Wołodimir Reprin-cew (Instytut Historii Ukrainy Ukraińskiej Akademii Nauk) nie zgodził się z opinią historyków polskich, że akcje banderowców były ludobójstwem ponieważ jest to kategoria przestępstwa popełniana przez państwo! Co uderza w „kompozycji personalnej” tego spotkania. Ze strony polskiej nie było właściwie historyków referujących problem mordów Polaków przez nacjonalistów ukraińskich w Małopolsce Wschodniej. Myślę, że nie brakuje ani znawców ani świadków tego dramatu i nie zostali oni po prostu zaproszeni przez organizatorów. Brak tego tematu w komunikacie polsko-ukraińskim, np. szacunkowej liczby ofiar w woj. lwowskim, tarnopolskim i stanisławowskim w czasie ostatniej wojny (wymieniony jest tylko Wołyń), świadczy o niekompletności tego dokumentu, stwarzając tym samym jakąś białą plamę w ekspertyzie. A może organizatorzy mają w planie włączenie tego tematu w następnym spotkaniu?

Pytań naprawdę trudnych, na które nie znaleziono odpowiedzi jest znacznie więcej, zainteresowanych odsyłam do tekstu komunikatu podpisanego przez obie strony, który ma wiele cech protokołu rozbieżności.

Na czerwcowej konferencji przedstawiciele organizacji ukraińskich w Europie, która zakończyła się parę dni później w Warszawie (przyjechał na nią również prezydent Światowego Kongresu Ukraińców w Kanadzie Dmytro Cipywnyk) opracowano dwa posłania. Skierowano je do polskiego parlamentu oraz Rady Europy. W dokumentach tych Ukraińcy domagają się potępienia akcji Wisła i respektowania praw ich mniejszości w całej Europie.

A sytuacja vice-versa czy byłaby możliwa? – np. zwołanie w Kijowie konferencji przedstawicieli polskich organizacji, może nie z całej Europy, jak to miało miejsce na konferencji ukraińskiej w Warszawie, ale z terenu byłych republik sowieckich. I czy można by było na tej konferencji również opracować posłanie do Rady Europy o poszanowanie praw mniejszości polskiej w niepodległych państwach, które były w przeszłości republikami sowieckimi.

Mniejszości narodowe mają przecież gwarantowane równe prawa nie tylko w Europie czyli obowiązuje symetria w korzystaniu z tych praw po obu stronach granicy polsko-litewskiej, polsko-białoruskiej, polsko-ukraińskiej itd.

A tak już zupełnie na marginesie. W dniach 10 do 11 lipca b.r. obydwaj programy TV Wiadomości i Panorama nagłośniły sprawę odkrycia szczątków ludzkich w Lubinie należących do Niemców, pensjonariuszy domu starców, zastrzelonych jak się przypuszcza przez NKWD. Podkreślono, że jest to zbrodnia ludobójstwa i oskarżono tamtejszy wymiar sprawiedliwości i prezydenta miasta Lubina, że się tym faktem od razu nie zajęli. Nie przypominam sobie żeby z okazji ekshumacji i pogrzebu w lecie 1992 roku polskich ofiar UPA we wsiach Ostrówki i Wola Ostrowiecka na Wołyniu (gdzie w tych dwu wsiach zamordowano 967 osób w tym 366 dzieci) TVP równie jednoznacznie jak w wypadku Lubina określiła tę zbrodnię mianem ludobójstwa. A jest to zbrodnia, która bez względu na narodowość kata i ofiary winna być ukarana by sprawiedliwości stało się zadość.

JERZY MASIOR

„Burza” i wokół niej

Wydarza się czas, gdy życie idzie na skróty: w ciągu dni, a nawet godzin dzieją się rzeczy ważne, bardzo ważne. Jest to czas kondensacji wydarzeń, które stygmatyzują nas niekiedy na zawsze. Brniemy później w nasze lata z balastem owych przeżyć stawiających nas wobec wyborów i decyzji tak znaczących, że gdyby nie zaistniały egzystowalibyśmy inaczej, byliśmy inni i żyli nie tu, a być może w całkiem różnym miejscu na ziemi. Do odmiennych zmierzalibyśmy celów i inne po sobie pozostawiali ślady. Niewątpliwie czas „Burzy” był dla nas młodych czasem zagęszczonym niezwykle. We Lwowie i wszędzie, gdzie alert wolności stał się koniecznością – wyzwaniem naszej najnowszej historii. Założenie białoczerwonej, akowskiej opaski, wyjście z bronią na ulicę, otrzymanie dokumentu na jej legalne posiadanie, stanowiło samo w sobie akt mobilizujący. Dla nas, tam, pod Wysokim Zamkiem zaiste doniosły. Większość nie pragnęła być w przyszłości żołnierzami, lecz wtedy, w lipcu 1944 roku, we Lwowie młode życie nie proponowało innej alternatywy. Nie rozumieliśmy złożoności politycznej dziejów owej chwili, a przyszłość odczytywaliśmy w sposób jednoznaczny i to był kompas koniecznych zachowań. A przy tym wszystkim jakżeż nieprawdopodobnie mała była nasza wiedza o barwie sztandaru, który miał w przyszłości przesądzać o politycznym znaczeniu walki. Wielu z nas, w tym i ja także, dopiero z dokumentu na broń odczytało, że jesteśmy żołnierzami Armii Krajowej. Zresztą we Lwowie taka karta „mob.” była prawie wyłączna, a jej posiadanie czymś oczywistym po latach okrutnego zniewolenia. Nasza świadomość po bolszewickich wywózkach na zatracenie, po morzu krwi i fetorze rozkładających się ciał w więzieniach Łąckiego i Brygidek, po germańsko-ukraińskich igrzyskach mord i upodlenia przez długie trzy lata okupacyjnej nocy – wybór nasz czynił jedynym z możliwych, nieomal biologiczny: wybraliśmy walkę.

Ponieważ moim zadaniem w kontrwywiadzie AK było przejmowanie od przebywających w szpitalach Łyczakowa rannych Niemców i żołnierzy innych nacji, w tym głównie Węgrów i Włochów – broni, oraz jej gromadzenie w prywatnym arsenale, czyli komórce na opał na podwórku kamienicy przy ul. Leśnej 16, przeto rozpocząłem moją lwowską „Burzę” uzbrojony doskonale: MP przez ramię, w czarnej kaburze na harcerskim pasie wyborowy, niemiecki pistolet P-38, dwa trzonkowe granaty zatknięte teutońskim zwyczajem za pas. Umundurowany prawie po wojskowemu, bo w koloru khaki przyodziewek Baudienstu i w przechowane buty narciarskie przedwojennego sznytu, ze ściętymi nosami, wyruszyłem rankiem 21 lipca na punkt zborny, na ul. Ossolińskich 11. Wiedziałem już, że zbiórka odbędzie się

w mieszkaniu pp. Nikliborców. Znałem ten adres od jesieni 1941 r., od dnia rozpoczęcia lekcji tajnego nauczania. Ówczesny docent fizyki Politechniki Lwowskiej Jan Nikliborc w dużym, przestronnym mieszkaniu, w którego okna zaglądało Ossolineum, kodował w naszych umysłach przez 2 lata prawa ruchu, światła i nieomyślności elektronowych orbit. Żona docenta p. Anna profesorka gimn. im. Król. Jadwigi uczyła niemieckiego. I oto w tym mieszkaniu miała się odbyć nasza pierwsza, akowska zbiórka, pierwsze wzajemne ujawnienie. Miało się okazać, że przydział bojowych zadań otrzymamy od Docenta, naszego w tym dniu i w tym miejscu dowódcy. Późniejszy profesor Politechniki Wrocławskiej, którego wykładów jako medyk słuchałem, którego przenigdy o rolę w pierwszym dniu „Burzy” nikt z nas nie podejrzewał,



Prof. Jan Niklibore

był moim pierwszym dowódcą Armii Krajowej. Nie odnotował tego faktu żaden z dziejopisów tej Armii. A chyba należy to zrobić, bo był to uczony nieposłusznej miary. Na zbiorce znajome i nieznajome twarze, jest nas kilkunastu. Ci znajomi, to przeważnie z Baudienstu, podobnie jak ja w mundurach tej formacji pracy dla Rzeszy. Gromady chłopaków z Łyczakowa i z innych dzielnic znalazły się wiosną w jej szeregach. Oczywiście nie dobrowolnie. Front zbliżał się do Lwowa, a my wyszykowani przy ul. św. Zofii w budynku Zakładu dla Ociemniałych w zwarte oddziały, budowaliśmy z wycinanych w brzuchowickich lasach drzew pas umocnień obronnych. Ta przymusowa praca dawała jednakże pewien komfort bytowania w okupowanym Lwowie. W zwartych szeregach, pod nadzorem Niemców, ujawnialiśmy nasze uczucia do ukraińskiej Hilfspolizei i całej tej banderowsko-esesowskiej formacji. Przemaszerowując przed posterunkami policji wyśpiewywaliśmy forte; wręcz darliśmy się: „Hryciu, Hryciu, Hryciu wyszoł z chaty. Nema Hrycia, pisał sr...y”. Było to prymitywne, ale bezkarne. A bezkarność napawała wówczas uczuciem rozkoszy. I to była też niewielka zemsta za znajdowane nad ranem

na lwowskich ulicach zwłoki naszych rówieśników, ofiar ukraińskich, nocnych mordów.

Dla jednego jeszcze powodu wspominam Bau-dienst. Mimo przymusowej pracy dla okupanta skupiła ta organizacja niemałą gromadę polskiej młodzieży, a to stwarzało okazje do codziennego łatwego komunikowania się, do przekazywania informacji, instrukcji, rozkazów. Nadchodził przecież czas, gdy taka możliwość była nie do przecenienia. We Lwowie, gdzie nieustannie śledziły nas oczy hitlerowskie i ukraińskie, zwarte polskie oddziały stawały się taktycznym podglebiem akowskim, najlepszym prawdopodobnie. Jakoś historycy tego nie doceniają.

W szkoleniu o broni i z bronią (ostre strzelanie), na które wędrowałem do ustronnego domu na Skniłowie, nie brakowało chłopaków w mundurach Bau-dienstu. Mundur ten był marginesem bezpieczeństwa, zwłaszcza, gdy w przepastnych kieszeniach spodni tkwiła parabelka. Wspominani już historycy Armii Krajowej we Lwowie, opisując jej struktury organizacyjne, potyczki zbrojne (nieliczne), wpadki i aresztowania (liczne), przemilczają akowską zwyczajność, służbę z dnia na dzień. A przecież takowa być musiała, by funkcjonowali dowódcy, sztaby, służby. Zaliczanie bojów, zresztą krótkotrwałych, leśnych oddziałów 14 p. Ułanów Jazłowieckich AK do najwybitniejszych osiągnięć polskiego podziemia we Lwowie jest faktograficznie, oględnie mówiąc, egotyzmem kilku b. oficerów tej jednostki. By zaistniał pułk musiały sprawnie funkcjonować lwowskie akowskie szare szeregi, najszerzej pojęte. I o tym trzeba pamiętać, to odnotowywać. Są znane próby zawiązywania już w czasie pierwszych sowietów poziomych struktur harcerskich i młodzieżowych. Było w tym trochę dziecinady, ale jakież to wówczas mogliśmy mieć doświadczenia walki podziemnej? W okupację niemiecką wpisywaliśmy się już bardziej dojrzały i doświadczeni. Poznaliśmy się i wiedzieli na co kogo stać, czego można było wymagać od konspiratora mając na uwadze nie tylko jego wolę lecz zdolności, talent, siłę. Ileż to wówczas nieznanym dotychczas cech charakteru ujawniała rzeczywistość służby i walki.

Moim przydziałem służbowym, po krótkim skoszarowaniu w szkole Marii Magdaleny, były ochrona budynku Konserwatorium i równocześnie kina na ul. Chorażczyzny. Sporadyczna strzelanina w śródmieściu dochodziła tutaj, ale walk na najbliższych ulicach nie było. Tkwiłem więc przed kinem „Apollo” zlakniony innego wojowania, ale ono mnie ominęło. Było jeszcze jakieś wędrowanie na Ochronek do budynku Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego, gdzie mieściło się dowództwo, było wywieszanie biało-czerwonej na wieży lwowskiego ratusza na czyjeś polecenie właśnie z Ochronek, no i tragifarsa finału: w drugim, lub trzecim dniu służby zwinął mnie z posterunku sowiecki łazik z kilkoma żołdatami. Zabrano mi broń i gdzieś w okolicy placu Halickiego wykopano (sic!) z łazika. Wracałem z wojaczki Łyczakowską pełen uczuć wzburzonych, szalejących. Jeszcze nie wszystko rozumiałem. Z trudem pozbywałem się wiary, że nadszedł oto czas

szkoły, harcerskiej drużyny, realizacji moich planów najskrytszych, tych osobistych i wspólnych z dziewczyną, z przyjaciółmi. Nazajutrz zakopaliśmy z Romkiem Tokarskim, w ogrodach Akademii Weterynarii przy Piekarskiej kilka skrzynek granatów i amunicji. Przyszła instrukcja: wstępujcie dobrowolnie do Wojska Polskiego, do tego wojska, o którym prawie nic nie wiedzieliśmy. Chyba tylko tyle, że nadeszło ze wschodu. To wojsko miało być ucieczką przed represjami za AK, za „Burzę”, za to, że byliśmy Polakami w polskim mieście, ponoć ponownie „wyzwolonym” i przypisanym radzieckiej Ukrainie. Spotkałem w wojenkomacie na Kurkowej kolegów. Zawisła nad nami olbrzymia chmura niepewności. Właściwie o wszystko. Było jakoś tak, jak we wrześniu 1939 roku. Instynkt wyostrzony latami wojny i jej realiów we Lwowie nie podpowiadał niczego dobrego. Już wkrótce miało się to sprawdzić. Dotarła do nas świadomość Jalty. Lwów wyrwano z jego odwiecznych granic. Miasto rusyfikowało się na naszych oczach, szarzało, dziczało. Totalitaryzm ustroju i władzy leżał wprost na ulicy. Był naznaczony kolorem chorągwi i haseł. Byliśmy wobec niego bezsilni i to najbardziej doskwierało. Dziś wiem o organizacji „NIE”, lecz któż z nas do niej wówczas trafiał? Natomiast trafiliśmy do pożydowskiego obozu na Pierackiego. To było miejsce kilkudniowego pobytu, spania na betonie, wszy, dokarmiania przez Ojca i formowania oddziałów „ochotników” do Wojska Polskiego. Stamtąd trafiłem do Lublina i do batalionu szkolnego IV Dywizji Piechoty. To był koniec sierpnia 1944. Nieomal w tym samym czasie „przypomniano” sobie o mnie we Lwowie. Oczywiście ci w niebieskich czapkach. W nocy 1 września zapukali do drzwi mieszkania na Leśnej. Nie pomogły tłumaczenia o służbie wojskowej syna. Za mnie ponad dwa lata przepracował w kopalniach Donbasu Ojciec. Wrócił na wiosnę 1946 r. Po prostu uciekł i to mu się jakoś udało. Wrócił w stanie skrajnego wyczerpania. Na jego rękach zmarł na nieludzkiej ziemi Krasnodonu dyrektor lwowskiej gazowni inż. Napadajewicz, a niedalekim sąsiadem „po pryczy” był mój późniejszy, lwowsko-wrocławski nauczyciel chemii nieorganicznej, prof. Edwin Płażek.

Mój epilog „Burzy” był dość nieoczekiwany i późny. W grudniowy wrocławski dzień 1981 r., z mostu Grunwaldzkiego Halina Tokarska rzuciła do nurtów Odry pistolet, przechowywany od tamtych dni. Przywiozła go ze Lwowa, była moją podkomendną; przechwytywała na różne sposoby broń w niemieckich szpitalach, gdzie pracowała jako sanitariuszka. Pamiętam ją z owych dni: nie należała do odważnych, miała wówczas około 20 lat, jednakże jej determinacja w dostarczaniu broni była imponująca. Mnie pozostało jej gromadzenie i przekazywanie dalej. Broni, z której tak niewiele wystrzałów padło we Lwowie. Halina, pełna lęku w grudniowym czasie stanu wojennego popelniała akt pozornie mało ważny, choć jakby konspiracyjny: broni nie oddała. Był to akt lęku i odwagi równocześnie. Taka była Halina, dziewczyna AK. Tacy byliśmy wtedy prawie wszyscy. Jakoś tak zwyczajnie, po prostu.

ANTONI KORAB

Ułanom Jazłowieckim w 75 rocznicę bitwy pod Jazłowcem

Koniec pierwszej wojny światowej zastał wielu Polaków rozproszonych po bezkresnych ziemiach rosyjskiego imperium, objętego czerwoną rewolucją.

Wtedy to we wsi Paszkowska na Kubaniu gen. Łucjan Żeligowski formuje z napływających ochotników 4-tą dywizję strzelców, w której znajduje się szwadron ułanów. Pod dowództwem majora Kon-

Rzeczypospolitej, na południowo-wschodnich rubieżach Polski, na Podolu — powstrzymująca zagony tatarskie i tureckie nawały. Bój ten przyniósł ułanom nieśmiertelną sławę oraz nazwę „Ułanów Jazłowieckich”.

Uratowanie Sióstr Niepokalanek, jak też szukającej schronienia w klasztorze okolicznej ludności za-



Szwadron ułanów. W środku siedzi por. Ryszard Garniewicz, lipiec 1919 r.

stantego Plisowskiego następuje szybki wzrost liczebności ułanów oraz przyjęcie oficjalnej nazwy jednostki „Dywizjon 1 Dywizji Jazdy przy 4 Dywizji Strzelców Polskich generała Żeligowskiego.

Zmieniająca się sytuacja wojenna spowodowała przetransportowanie ułanów do Odessy, skąd jako tylna straż wojsk koalicyjnych poprzez Rumunię 15.VI.1919 r. dociera do granic Polski, staczając następnie szereg walk z Ukraińcami. Po słynnej szarży pod Sokołowem doszło do bitwy pod Jazłowcem.

75 lat temu w dniach od 11 do 13 lipca 1919 r. w zwycięskim boju ułani oswobodzili Jazłowiec i klasztor SS Niepokalanego Poczęcia. Ten dzień — 11 lipca stał się dniem święta pułkowego. Klasztor w Jazłowcu — to dawna od wielu wieków strażnica

dzierżnęło nierozzerwalne więzy między klasztorem SS Niepokalanego Poczęcia w Jazłowcu a 14-tym pułkiem Ułanów Jazłowieckich. Pułk przyjął za swą patronkę Najświętszą Panienkę z Jazłowca, składając Jej w czasie uroczystej koronacji w dniu 9 lipca w 1939 r. ślubowanie dotrzymania Jej Wiary do ostatniego tchu. Świadectwem tej serdecznej więzi łączącej od wielu lat ułanów z Panią na Jazłowcu był zwyczaj, że rok rocznie w dniu 8-go grudnia patrol złożony z nowoprzydzielonego oficera i plutonu ułanów odbywał pielgrzymkę z miejsca postoju we Lwowie do Jazłowca. Specjalny przywilej wydany przez Ojca Świętego pozwalał ułanom na wejście do klasztoru objętego klauzurą. W okresie międzywojennym kościołem garnizonowym stał się wotywny kościół Matki Boskiej Ostrobramskiej na Górnym Ły-

czakowie we Lwowie, z którego pochodzi Obraz Wileńskiej Pani umieszczony w kościele. Najśw. Serca Pana Jezusa u księży Salezjanów we Wrocławiu.

W pamiętnym wrześniu pułk znów stanął w obronie Ojczyzny. Walcząc w ramach Armii Poznań stoczył szereg krwawych bojów. W końcowej fazie kampanii wrześniowej generał Abraham powierzył 14-stemu pułkowi specjalne zadanie: — należało przerwać pancerny pierścień wojsk niemieckich otaczających Warszawę, umożliwiając dotarcie dodatkowym siłom dla obrony stolicy. W Wólce Węglowej pod Warszawą na rozkaz wspaniałego dowódcy pułkownika Edwarda Godlewskiego pułk wykonał jedną z ostatnich szarż kawaleryjskich stwarzając przez to wolną drogę do oblężonej stolicy. W walce tej 105-ciu oficerów, podoficerów i ułanów złożyło Ojczyźnie swój największy dar — dar swego życia. Tak więc słowa Marszałka Józefa Piłsudskiego wypowiedziane przy dekorowaniu w 1921 r. sztandaru pułkowego Orderem Virtuti Militari — że „jest to pułk, który nigdy nie zawiódł” potwierdziły się również w trudnym okresie Polskiego Września, czego wyrazem było ponowne odznaczenie sztandaru pułkowego tym samym Orderem. Ułanom Jazłowieckim, których tylko kilku już spotyka się na dorocznym święcie pułkowym na Mszy św. w Kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa we Wrocławiu, należy się wdzięczna pamięć i głęboki szacunek.



Marszałek J. Piłsudski salutuje udekorowany sztandar
20 III 1921 r. w Tomaszowie Lubelskim



Po 4 latach starań o pozwolenie postawienia pomnika pod Wólką Węglową ówczesne władze zgodziły się na jego odsłonięcie w dn. 14 X 1979 r. Pomnik jest bardzo podobny do tego, który stał w koszarach na Jאלowcu odsłonięty w święto pułkowe w 1933 r. Orzeł na pomniku fundacji autora artykułu.

* * *

W uroczystości odsłonięcia pomnika wzięli udział weterani jazłowieccy, wśród nich najstarszy gen. bryg. Franciszek Skibiński.



Grupa jazłowiaków
od lewej:
ułan Sokołowski,
rtm. Władysław
Schmidt, z tyłu NN,
plk. Andrzej Kuna-
chowicz d-ca pułku
do 1934 r.,
ppor. Aleksander
Marczyński,
chorąży Władysław
Gwoździński (Ano-
lek — gł sanitariusz
z Kubania),
mjr Andrzej Sozań-
ski (od natarcia na
Laski zast. dow. pu-
łku), plut. Grzegorz
Borowicz i plut.
Piotr Wasyluk.

Rok 1939 nie zakończył działania orężnego 14-go pułku Ułanów Jazłowieckich. Odtworzony na Zachodzie walczył we Francji, Belgii i Holandii.

We Lwowie organizuje się i działa 14 pułk Ułanów Jazłowieckich Armii Krajowej.

Tradycja ułańska, sława „czternastki”, a nawet jej elitarność były magnesem przyciągającym młodych. Dlatego w czasie wojny, czemu nie należy się dziwić, organizowane oddziały przybierały nazwy pułków przedwojennej regularnej armii. Tak też stało się we Lwowie, na Łyczakowie, gdzie powstał pluton Grunwald 14 p. Ułanów Jazłowieckich, „pułku, który nigdy nie zawiódł”.

Naśladując zwyczaje pułkowe p. Władysław Załogowicz ps. „Felek-Piotr” już w pierwszym roku okupacji organizując wokół siebie harcerzy i batiarów łyczakowskich zainspirował powstanie sztandaru. W trudnych warunkach okupacyjnych narysował projekt sztandaru, wystarał się o potrzebny materiał, znalazł wykonawczynię i w dniu 2 lutego 1943 r. ks. Ewaryst poświęcił sztandar w częściach, łatwych w każdej chwili do ukrycia. Świadomość istnienia znaku, pod którym prowadzono akcje małego sabotażu, następnie coraz poważniejsze, mające na celu zdobywanie broni i wreszcie wystąpienie z bronią – to długa i poważna karta historii tych nowych Orląt Lwowskich.

Wracając do sztandaru, to jego losy były podobnie burzliwe, jak losy starszego szeregowca Władysława Załogowicza-„Felka” i członków zorganizowanego przez niego plutonu Grunwald.

Na ostatniej zbiórce plutonu Grunwald w dniu 3 maja 1946 r. na Łyczakowie zapadła jednogłośnie decyzja aby ten właśnie rok uwidocznić na sztandarze. Znany lwowski fotografik p. mgr Bronisław Kupiec ps. Jan dokonał wtedy licznych zdjęć obu stron sztandaru, który w kawałkach został przewieziony do Polski. Felek osiedlił się w Głucholazach i wśród bliskich mu lwowiaków od lipca 1946 r. zaczął pracować w harcerstwie, występując na licznych uroczystościach ze swoim sztandarem. Wkrótce on jak i sztandar stał się „przedmiotem zainteresowania” urzędu bezpieczeństwa publicznego, które w dacie „1946” zaczęło dopatrywać się powojennej działalności NSZ i WIN. Pełen obaw, Felek przekazał sztandar swym najmłodszym żołnierzom Szarych Szeregów – Emilowi Mojsie ps. Sarna i Stanisławowi Kowalowi ps. Malec. Wkrótce Felek został aresztowany, wytoczono mu proces, w którym skazano go na karę śmierci, po pewnym czasie zamienioną na dożywocie. W czasie przesłuchań i pobytu w więzieniu wybito mu zęby i połamano żebra. Od 1949 r. był więziony we Wrocławiu, Opolu, Nysie i Prudniku. Między innymi w Opolu siedział w pomieszczeniu znajdującym się pod jezdnią w bocznej ścianie kanału Odry w wodzie i w błocie, w zupełnej ciemności. Przy wyjściu z więzienia przy wzroście ponad 170 cm ważył 38 kg. Przeżył chyba tylko dlatego, że w czasach młodości było mu do szkoły „pod wiatr i pod górkę”, a jako nie należący do klasy „inteligenckiej” swym zaangażowaniem dla Polski, patriotyzmem i wiarą wywoływał zdziwienie nawet u ubowców, prokuratorów i „sędziów”. Po wyjściu z więzie-

nia musiał podjąć pracę pomocnika grabarza, a następnie zmiataacza ulic. Nie przeszkadzało mu to w opracowaniu wielotomowych wspomnień prozą i wierszem, oraz artykułów, które ukazują się w prasie krajowej i zagranicznej. O Felku nie da się już obecnie napisać w krótkim artykule – to trzeba zostawić do opracowania specjalistom.

Wracając do losu członków zorganizowanych przez Felka plutonów: GRUNWALD, obejmujący górny Łyczaków, RACŁAWICE obejmujące Krzywczycę i WESTERPLATTE obejmujące Żłoby, Pasieki i Jałowiec – czyli Lwów–Wschód, to w okresie okupacji i w akcji Burza z około dwustu ludzi, życie swe za Polskę i Polski Lwów oddali, następujący żołnierze: Berdak Kazimierz, Drapała Adam, Jarosz Zbigniew, Kryl Antoni, Nowicki Bolesław, Pniewski Waldemar, Pukas Edward, Sawicki Bolesław, Serba Edward, Terlecki Michał, Wańczak Stanisław, Wójcicki Ludwik, Zdebelak Karol, Ziemia Mieczysław, Zint Jerzy, oraz dowódca rejonu ASTRA por. Bolesław Czajkowski zamordowany na Kołymie.

* * *

W 50-tą rocznicę akcji Burza oddajemy hołd naszemu Orlętom, walczącym pod sztandarem z napisem: **BÓG – HONOR – OJCZYZNA.**

* * *

Opis sztandaru. Uzyskanie orla do grotu sztandaru od p. Władysława Panasia wykonanego przez p.



Felek ze sztandarem

Mariana Dydowicza zdecydowało realizację zamierzeń Felka wykonania sztandaru. Obecnie orzeł ten znajduje się w Muzeum Archidiecezjalnym we Wrocławiu. Następnym etapem było wykonanie w zimie 1940 r. dolnej części płata z nie pełnym napisem roku: „PLUTON GRUNWALD, LWÓW – ŁYCZAKÓW 1940-194 ”. Kolejno powstawały dalsze części i napisy, powstające wg rozkazów Szarych Szeregów a następnie władz AK, tak, że ostatecznie sztandar otrzymał wygląd przepisowego kawalerskiego sztandaru wojskowego z przed II wojny światowej. (Na okładce czasopisma jest jego pierwsza strona).

Pierwsza strona: na białym tle czerwony krzyż kawalerski. Centralnie znajduje się srebrny orzeł w koronie otoczony wieńcem laurowym z zielonego sukna, na morelowym tle. Na krzyżu znajdują się napisy: BÓG, HONOR, OJCZYŻNA. W narożnikach białego tła napisy: „ASTRA 14 (kryptonim rejonu dzielnic wschodniej Lwowa, Liczba 14 oznacza 14 pułk Ułanów Jazłowieckich), w drugim rogu

„AK WSCHÓD”. W dolnym rogu „KRZYWCZYCE” a w ostatnim „PASIEKI”. Te dwie ostatnie nazwy to dalsze okolice wielkiego Lwowa.

Druga strona: w pionowym układzie barwy Lwowa: amarantowa (wyblakła) i niebieska. Centralnie, otoczona 12 gwiazdkami M.B. Ostrobramska. Poniżej herb Lwowa udekorowany Krzyżem Virtuti Militari. Poniżej: na niebieskim polu czerwona kotwica, na amarantowym harcierska lilijka z literami O (Ojczyzna), N (nauka), C (cnota) oraz ZHP. Przez cały płat biegnie łukiem napis: BŁOGOSŁAW – MATKO – NASZEJ – POLSKIEJ – ZIEMI.

W roku 1946 została wyhaftowana w dacie szóstka, którą później zamieniono na czwórkę (różni się ona barwą).

Sztandar wykonały: p. Bronisława Kapral ze swą córką Krystyną oraz p. Zofia Brzostowska-Kiernicka ps. Grażyna, która dodatkowo wykonała wizerunek M.B. Ostrobramskiej.

OD REDAKCJI

Przebieg Akcji Burza na III Obszarze (woj. lwowskie, stanisławowskie, tarnopolskie) został opisany w pracach J. Węsierskiego, S. Pempla i innych autorów, a podstawowymi materiałami źródłowymi jest nadal edycja „Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945”.

Obecnie przedstawiamy fragmentaryczne wspomnienia uczestników tej Akcji na terenie miasta i okolic Lwowa.

Te artykuły mogą służyć jako przyczynki dla zainteresowanych tą problematyką. Wobec upływu półwiecza każda relacja jest ważna.

JERZY MASIOR

„BURZA – 1944”

Żołnierzom Armii Krajowej Lwowa

*To wszystko jeszcze jest na pamięć,
trwa nalot snów i jest broń w dłoniach
i jest wojenna w lipcu zamieć,
a chęć za duży na mych skroniach.*

*To wszystko jeszcze jest za duże,
choć jedno słowo, jedna kula.
Historię trzeba znów powtórzyć,
gdy granat ręce czule tulą.*

*Jeszcze ta chęć oczu prośba:
celuj za wszystko, broni mało.
Nasza zachłanność – nasza groźba:
odbezpiecz granat, by się stało.*

*Z Śródmieścia, z Pasiek, z Listopada,
poszliśmy w Burzę jak w nowinę.
Nad Polską krwawy mrok zapadał;
a my nadziei odrobinę...*

*Nazajutrz ranek był dławieniem,
niemęskim szlochem na kolanach.
Nieogarnięte do stracenia,
wiara – historia niespisana.*

Nowy Sącz 19 VII 1994 r.

Fragment akcji „Burza” we Lwowie

W czerwcu 1944 wiadomo już było, że od ponownego wkroczenia Sowietów do Lwowa dzielą nas dni. Niemcy zaczęli się ewakuować, wielu Polaków, którzy mieli jakiekolwiek oparcie na zachodzie wyjeżdżało, lub przynajmniej wysyłało co wartościowsze rzeczy. Nasilały się morderstwa popełniane przez Ukraińców na Polakach, chodziło już nie tylko o „rżnięcie Lachów”, ale przede wszystkim o zdobycie polskich dokumentów, aby przy ich pomocy zmienić tożsamość. Nasilała się działalność konspiracyjna — postanowiono, mimo dochodzących wieści o losach ujawniających się oddziałów AK na Wołyniu i Wileńszczyźnie, że mamy wystąpić zbrojnie. Opracowaliśmy plan mobilizacyjny, wyznaczono miejsca zbiórek, sieć łączności.

Ze strony Niemców spodziewaliśmy się najgorszego i tu nastąpiło zaskoczenie. We Lwowie, odwrotnie niż w innych miastach więźniów nie tylko nie wymordowano, ale wypuszczono ich podczas opuszczania miasta przez władze cywilne.

Obszar działania mojego plutonu był wyznaczony w śródmieściu, a że mieszkając na Filipówce byłem od niego zbyt oddalony przeprowadziłem się do Romka Superata na Mikołaja Reja 7. Byłem tam już 15 lipca. Front się zbliżał i my czekaliśmy na rozkazy. Wreszcie 22 lipca łączniczka przyniosła mi rozkaz udania się na ulicę Sobieskiego, do dowództwa Śródmieścia. Nie było to łatwe, wkraczające oddziały sowieckie — czołgi i nieliczna piechota prowadziły walki właśnie w tym rejonie. Ulica Sobieskiego leżała poza linią walk. Przeszedłem spokojną ulicą Piekarską by na placu Bernaryńskim dostać się pod ostrzał z ckm-u prowadzony od placu Mariackiego przez stronę niemiecką. Trzeba było jednak przez plac przebiec, więc najpierw skok za figurę św. Andrzeja Boboli stojącą przed frontem kościoła Bernardynów, potem skok do Wałowej. Ukryty za postumentem stwierdziłem, że nie jestem sam, obok leżała jakby śpiąc starowina i tylko wylana z menażki zupa świadczyła o tym, że nie był to sen. Ojcowie Bernardyni dokarmiali biedotę i babulina niosła widocznie zupę komuś bardziej niż ona potrzebującemu.

Dotarłem wreszcie na Sobieskiego, gdzie dostałem rozkaz obsadzenia plutonem gmachu Sprechera na ulicy Akademickiej. Trzeba było wracać. Tym razem wybrałem drogę przez Rutowskiego i plac Mariacki. I ta droga okazała się niebezpieczna. Gdy przebiegałem przed hotelem George’a na Sienkiewicza widziałem jak z muru hotelowego lecą odpryski. Dalej w krętych uliczkach było pozornie bezpieczniej chociaż i tam od czasu do czasu wybuchały pociski artyleryjskie, a miejscami grasowali gołębiarze.

Na Supińskiego czekał na mnie pluton, a właściwie niewiele więcej niż drużyna bo piętnastu ludzi z Jerzym Sochanikiem czyli „Wincentym”. Z uzbrojeniem było gorzej niż źle. Jedyną przyzwoitą bronią jaką mieliśmy był zrzutowy „sten” z jednym zapasowym magazynkiem, poza tym kilka pistoletów róż-

nych typów. Ja na przykład miałem jeszcze austriackiego „Steyera” i to z trzema nabojami o przedziwnym kalibrze mniejszym nieco od typowej dziewiątki.

Z Supińskiego przez Długosza, Mikołaja, plac Akademicki doszliśmy do ulicy Fredry, gdzie natknęliśmy się na czołgi sowieckie. Spotkanie było dość nieufne, dopiero sprawdzenie, że mamy broń angielską rozwiało ich wątpliwości. Na rogu Fredry i Batorego dymiły jeszcze dwa czołgi — sowiecki i niemiecki, kolejny spalony czołg spotkaliśmy u wylotu Zielonej na Piłsudskiego, w środku widać było cztery spalone postacie, czarne mumijki tkwiące na swoich stanowiskach.

Na Batorego weszliśmy do gmachu sądu spodziewając się znaleźć tam broń. Istotnie, w jednej z wartowni odkryliśmy magazyn przeróżnych karabinów, chyba pamiętających jeszcze I-szą wojnę światową, z amunicją oraz jeden współczesny mauzer kawalerski, który przydzieliłem sobie. Na podwórzu był głęboki lej po wybuchu granatu, rozwalona kuchnia polowa i sporo trupów sprawiających niesamowite wrażenie. Wybuch dokładnie oblepił je ziemią, tak że wyglądały jak zastygłe odlewy całkowicie odczłowieczone. Żadnych śladów krwi, podwórze całe przysypane cieniutką warstwą pyłu. Tam znaleźliśmy parę pancerfaustów, byliśmy więc już jako tako uzbrojeni.

Wróciliśmy przez Fredry na Akademicką i bez przeszkód dotarliśmy do gmachu Sprechera. Zajęliśmy pomieszczenia na dole, zaczęliśmy zagospodarowywać się i ubezpieczać. Rozesłałem patrole w najbliższą okolicę dla rozpoznania. Rozpoczął się napływ ochotników, głównie AK-owców, którzy w wyniku działań utracili kontakt ze swoimi oddziałami. Wkrótce było nas już przeszło pięćdziesięciu. Poszedłem i ja na patrol. Przede wszystkim chciałem sprawdzić co się stało z ckm-em, który ostrzeliwał mnie przed Bernardynami. To gniazdo musiało być na placu Halickim, gdzieś w okolicy kwiaciarni Klimowicza. I rzeczywiście, na piętrze, w jakimś zakładzie, chyba kuśnierskim znaleźliśmy ślady. Niemcy już uciekli, ale ku naszej radości bez ckm-u bo zabrakło im amunicji. Tak więc był ckm, tylko nie było czym z niego strzelać.

Patrole do linii Rynek — Sykstuska nie napotkały zorganizowanej obrony Niemców, jakkolwiek sporadyczna strzelanina rozlegała się często. W kinie u wylotu Wałowej na plac Mariacki natrafiono na ciężko rannego Niemca, którego odtransportowano do szpitala na Pijarów. Przed pomnikiem Mickiewicza stał rozbity czołg sowiecki, a w nim nadpalone trupy czołgistów. Kolumna czołgów z ulicy Fredry przesunęła się na Akademicką do wylotu na plac Mariacki.

Trudno opisać nastrój jaki wśród nas panował. Po raz pierwszy występowaliśmy jawnie, z białoczerwonymi opaskami na ramionach, z bronią, byliśmy jakby w amoku, kierując się bardziej intuicją niż logiką, bo i okoliczności prowokowały do tego.

Choćby taki epizod: idziemy skokami, w szyku ubezpieczonym ulicą Sokoła ku Chorążczyzny, gdyż z ruin pasaży Mikolascha padają pojedyncze strzały karabinowe. Idę lewą stroną wtulając się w uskoki szerokich bram wjazdowych piętrowych kamieniczek po tej stronie ulicy. Te bramy, tak wielkie, że mogły przez nie wjeżdżać naładowane, drabiniaste fury mieściły w sobie zawsze małą furtkę dla przechodzenia przez ludzi. I gdy stałem w takim wykuszu uchylła się furtka i jakaś dziewczyna podała mi dwa goździki – biały i czerwony. Nie wiem kim była, nie wiem czy jeszcze to zdarzenie pamięta, chciałbym móc jej podziękować, bo wtedy zaskoczony milczałem. Te białe-czerwone kolory zakwitły na sztandarach wszędzie gdzie dostrzeżono nasze opaski. I wisiały te flagi dość długo, dopiero po przejściu frontu zaczęli chodzić „bojcy” i tłumaczyli żeby odedrzeć to białe, wtedy „budiet charaszo”.

Linia frontu przesunęła się za teatr. Obok teatru leżały zwłoki kobiety zabitej granatem. Na Akademickiej młodziutki żołnierz sowiecki prowadził niemieckiego jeńca. Podszedł „komandir”, „czto ty dziełajesz?” – „plennawo proważu” – nam plennych nie nada” i wypalił jeńcowi z nagana prosto w głowę.

Następnego dnia dotarła do nas wiadomość, że Niemcy opuścili magazyn broni w zabudowaniach cegielni czy też jakiegoś większego gospodarstwa pod Kulparkowem. Trzeba to było natychmiast sprawdzić. Wziąłem paru chłopców i poszliśmy przez całe miasto: Kopernika, Listopada. Minęliśmy bokiem tyralierę czołgów posuwających się w kierunku Skniłowa, przemknęliśmy się obok na teren zabudowań. Widok dosłownie nas zamurował. Dwie duże szopy załadowane – jedna talerzowymi minami przeciwczołgowymi, druga skrzynkami z włoskimi granatami zaczepnymi i przeciwlotniczą amunicją karabinową, takimi pociskami świecącymi. Jak to wziąć? Cofnęliśmy się do Kulparkowa, gdzie u przerażonych ruskich chłopów częstujących nas kwaśnym mlekiem zarekwiraliśmy dwie konne podwozy i wróciliśmy do magazynu z amunicją. Nie uszło to jednak uwagi Niemców, którzy zaczęli nas ostrzeliwać z dział w rejonie Skniłowa. Zasłonięci szopami, trzymaliśmy szalejące konie za uzdy, świadomi że jeden „foltrefer” w szopy i śladu po nas nie zostanie. Na szczęście granaty były rozpryskowe i ostrzał krótkotrwały, zapewne przejeżdżające czołgi odwróciły ich uwagę, tak, że nikomu z nas nic się nie stało. Załadowaliśmy podwozy granatami i amunicją karabinową, zamaskowaliśmy naciętymi gałęziami i już bez przeszkód wycofaliśmy się na teren zabudowany gdzie byliśmy już bezpieczni. Wracaliśmy pełni triumfu. Na ulicy Listopada spotkałem mojego profesora z Politechniki – Aulicha. Ku jego zdziwieniu pięknie mu zasalutowałem, a wyglądałem wtedy bardzo bojowo: polski hełm (znalazłem go w 1939 roku, zakopany w jarze przez który chodziłem do gimnazjum), skórzana kurtka (ze szpaltu, przed wojną nosiłem ją na narty), spodnie zielone, z jakiejś materii workowej zapinane na kostkach (te wyfasowałem swego czasu w Baudienstcie) no i piękny mauzer zdobyty na Batorego. To spotkanie było zresztą dość osobliwe w skutkach. W czasie moich studiów za „drugich bolszewików” na

Politechnice profesor wyraźnie mnie unikał. To był czas, kiedy za działalność AK otrzymywało się „wyrocznienie” w postaci zsyłki do łagru na co najmniej 5 lat.



Autor artykułu w dniach „Burzy”

Radość ze zdobyczy była wielka. Staliśmy się dobrze uzbrojonym oddziałem bo i granaty, i sten, i karabin maszynowy, który przestał być jedynie eksponatem, a i pancerfausty dodawały animuszu.

Następnego dnia rano dostaliśmy rozkaz przeniesienia się do Banku Hipotecznego na plac Mariacki róg Krzywej. W tym banku za czasów niemieckich mieściła się „Kriminalpolizei”. Budynek ten zdecydowanie bardziej nadawał się dla naszych celów, łatwiej go było ubezpieczyć niż gmach Sprechera z dużymi oknami wystawowymi na parterze. Wewnętrzny dziedzińczyk zamknięty ze wszystkich stron był dobrym miejscem dla zbiorów oddziału.

Do naszych szeregów zaczynały się wkradać niepokoję. Dowództwo nie ujawniło się i tylko sporadycznie nas wizytowało, wciąż niewyjaśniona była sytuacja stosunków z Rosjanami. Niby nas tolerowali, ale co dalej? Nadal patrolowaliśmy miasto, w którym daleko jeszcze było do spokoju. Musieliśmy interweniować przy próbach rabunku sklepów poniemieckich, jak np. Meinla na rogu Akademickiej i Klementyny Tańskiej. Towarzyszył nam nastrój niepewności i zagrożenia. Nasz bank „ufortyfikowaliśmy” na ile się dało. Zakratowane okna parteru znakomicie ułatwiały sprawę, trzeba było jedynie dobrze zabezpieczyć bramę wejściową. Tu postanowiliśmy ustawić nasz karabin maszynowy. Kłopot był w tym, że podłoga wyłożona płytkami ceramicznymi była śliska i nóżki karabinu ślizgały się. Nie tracąc konceptu wyrąbałem siekierą dwie płytki i tak uzyskałem dobre podparcie. Ten szczegół miał swoją historię po latach. Najpierw, gdy będąc w latach 60-tych we Lwowie i szukając śladów przeszłości zająłem do tej bramy

znalazłem tam swoje płytki ledwie uzupełnione cementem — namacalny ślad tamtych dni. A w ćwierć wieku później, gdy na jakimś spotkaniu przy kawie słuchałem lwowskich wspomnień kolegi opis tych płytek pozwolił mi rozpoznać w nim chłopaczka któremu wydałem rozkaz obsadzenia nocą posterunku przy karabinie maszynowym.

Coś zaczęło się zmieniać. Wydano nam zaświadczenia, że jesteśmy żołnierzami Armii Krajowej. Dowództwo zaczęło nawiązywać wstępne kontakty z Sowietami. Nas w banku wizytował, oglądając wszystko dokładnie jakiś major z NKWD. Potem próbowano nas użyć jako służby porządkowej, wreszcie zarządano abyśmy opuścili gmach banku. Przenieśliśmy się na ulicę Fridrichów i to już był koniec naszych działań. Po 24 godzinach otrzymaliśmy od dowódcy „Śródmieścia” „Buraka” rozkaz złożenia broni i roz-

wiązania oddziału. Zrozumieliśmy, że to już koniec i że trzeba jakby nigdy nic wracać do domów.

Sądzę, że z obowiązku jaki na nas nałożono wywiązaliśmy się rzetelnie, na miarę naszych możliwości i okoliczności jakie temu towarzyszyły. Po miesiącu zostałem wezwany przez łączniczkę do lokalu przy ul. Sienkiewicza gdzie poproszono mnie abym złożył pisemny meldunek z działań naszego plutonu w tamte dni. To był mój ostatni kontakt. Wróciłem do studiów na Politechnice.

Dziś pisząc te słowa w pół wieku po tamtych dniach nie mogę nadziwić się szczęściu jakie miałem. Inni płacili latami więzień i zsyłek co najmniej. Mnie to ominęło, a pozostało poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Kwiecień 1994 r.

LESZEK SAWICKI („TRAJAN”)

Akcja „BURZA” we wspomnieniach.

Dziesięć lipcowych dni 1944 roku

Niedawno przejrzałem notatnik z zapiskami wydarzeń 1944 roku, których byłem świadkiem i uczestnikiem. Były to zapiski prowadzone codziennie w dużym biurowym kalendarzu berlińskiej firmy Schauenburga, niekiedy notowane skrótowo lub z zastosowaniem eufemizmów i wyrażen zastępczych, tylko mnie znanych — z konieczności ukrycia treści niektórych uwag w razie wpadki.

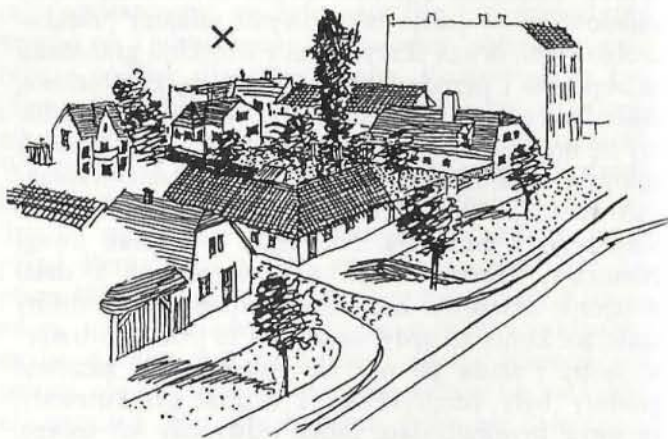
Notatki te „odświeżyłem” i uzupełniłem faktami, o których wówczas nie wiedziałem. Starłem się również rozszyfrować pseudonimy, co po upływie pięćdziesięciu lat nie było łatwe. Świadkowie tamtych wydarzeń rozpiechli się po ekspatriacji ze Lwowa, wielu z nich nie ma już wśród żyjących. Pisać o tych wydarzeniach jednak warto, gdyż mało dochowało się pamiętników, a i sam przebieg „Burzy” we Lwowie nie ma dotychczas wyczerpującej monografii oprócz skrótowych relacji J. Pempla (1990) i J. Węgieńskiego (1989).

Mój opis dotyczy małego wycinka działań, gdyż nasz oddział był w odwodzie. Nie dokonaliśmy żadnych bohaterskich czynów. Sądzę jednak, że liczą się fakty — ujawnienia, dyspozycyjności, przygotowania do działań i poruszania się na terenie walk. Czy nasi rówieśnicy, dzisiaj żyjący, wykazaliby się podobną odwagą i determinacją? Dla nas był to po prostu obowiązek.

Opisuję to, co widziałem. Fragmenty przepisane wprost z moich notatek pozostawiłem w cudzysłowach, reszta tekstu to odtworzenie sytuacji z pamięci i z relacji kolegów. Pomiąłem bardziej osobiste fragmenty zapisków odnoszących się do rodziny i do moich nader powikłanych sercowych (któż z nas nie miał dziewiętnastu lat...).

Dom. Mieszkaliśmy przy ulicy Łyczakowskiej 143,

w domku z ogrodem położonym między ulicami Krupiańską i Mączną. Z okna mansardowego pokoiku na pierwszym piętrze był dobry widok na połu-



Dom przy Łyczakowskiej 143 — w głębi ogrodu, zasłonięty od ulicy drzewami.

Rys. Stanisław Szczęk (1944 r.)

dnie, gdzie horyzont spiętrzał się nieco: były to wzgórza wschodniej części Cmentarza Łyczakowskiego, zalesione, rozblyskujące na Wszystkich Świętych i Zaduszki tysiącami światełek. Z tegoż okna można było obserwować osoby wchodzące z ulicy ścieżką na teren posesji; drzewa owocowe zasłaniały parter domu od strony ulicy. Tyły posesji przylegały do innych ogrodów, a dalej były już debry ulicy Mącznej i Kajzerwaldu, dające możliwość wycofania się w razie zagrożenia.

Te cechy architektoniczne zadecydowały, że dom

nasz stał się w ciągu prawie całej wojny cennym dla konspiracji punktem — kwaterunkiem, miejscem spotkań, a nawet przechowywania zrzutowej broni. Punktem kierowała moja Matka, Zofia Sawicka; my młodzi staraliśmy się, zgodnie z konspiracyjnymi zasadami, wiedzieć jak najmniej, nie rozmawiać na zewnątrz z nikim o sprawach domowych, mieliśmy również polecenie nieangażowania się w sprawy konspiracji. Tego ostatniego szczególnie stanowczo domagał się „Pan Nowak”, najdłużej u nas mieszkający lokator mansardowego pokoiku.¹

Z tych powodów mój udział w organizacji datuje się dopiero od jesieni 1943 roku (już za przyzwoleniem „Pana Nowaka”). Wraz z kilkoma kolegami z naszego „klubu” przyjaciół, kolegów z gimnazjum i z „Baudienstu” stanowiliśmy dwie drużyny w plutonie „Świtez” dzielnicy Śródmieście (o naszej nazwie i przydziale dowiedzieliśmy się później). Przechodziliśmy szkolenie bojowe i zaznajamianie z bronią; tę ostatnią przynosiły na czas wykładu łączniczki — młode dziewczęta, których nie znałem. Broń — to były pistolety, granaty, potem „szkoleniowy” odcinek karabinu, bez lufy i kolby, w którym składanie i rozbieranie zamka trzeba było wykonywać na oślep. Szczególnym tematem wykładów były „Walki w mieście” — zadania bojowe drużyny o składzie „5+1”.

„Baudienst”. Pracowałem wówczas w Baudienst-Kommandostelle, instytucji mieszczącej się przy ulicy Pułaskiego w dawnej willi — pałacyku wiceprezydenta Lwowa, Chajesa. Wraz ze mną pracowali inni członkowie naszej grupy: Jasiek Duryk², „Józwa” Kraszewski, Jurek Ragankiewicz, Jurek Martuła³ i inni.

Po zaprzysiężeniu pierwszym poważniejszym zadaniem, jakie dostaliśmy z Jaśkiem, było rozpoznanie mieszkańców domów w otoczeniu budynku niemieckiej dyrekcji policji przy placu Smolki. Budynek ten był wyznaczony jako obiekt ataku w razie akcji „Burza”. Zadanie wykonywaliśmy w sposób nieomal jawny. Jasiek wydostał z magazynu druków Baudienstu formularze „Fahndungsliste” — listy poszukiwań zbiegłych członków Baudienstu, wypełnił je kilkunastoma fikcyjnymi nazwiskami i adresami „zbiegów” z Baudienstu, i tak oto chodziliśmy od mieszkania do mieszkania (byliśmy w mundurach Baudienstu), dopytując się, czy nie mieszka tu taki a taki (nieistniejący) junak. Nawet krótka rozmowa z właścicielem mieszkania i obejrzenie wizytówek na drzwiach dawało nam możliwość zorientowania się co do mieszkańców w kategoriach: Niemiec, wojskowy, cywil, biuro czy firma okupanta, Polak, Ukraińiec. Najtrudniej było tu wyróżnić volksdeutsche, bo ci zazwyczaj dla niepozoru pozostawiali na drzwiach dawne swe wizytówki. Raporty nasze przekazywaliśmy „wyżej” (sądzę, że były one weryfikowane przez innych „naszych ludzi”).

Innym zadaniem było zdobywanie czystych legitymacji — ausweisów Baudienstu i opatrywanie ich stemplami dla osób zmuszonych do zmiany swojej osobowości. Podpis Baudienst-Stabsführera „Simon” mojej produkcji miałem tak wyćwiczony, że nie różnił się od autentycznego (do dziś jeszcze potrafię się nim podpisywać). Jeden z takich ausweisów z własnym

zdjęciem i pustym miejscem na nazwisko zachowałem na wszelki wypadek dla siebie. Ponadto, odnosząc służbową pocztę do Oberfeldkommandantury (mieszczącej się w dawnych budynkach sądów na Batorego), przechodziłem przez ciąg parterowych korytarzy. Tu w pobliżu głównego wejścia stał stolik (pod opieką podoficera) z wypisanymi na tekturze „hasłem” i „odzewem” obowiązującymi jednostki niemieckiego garnizonu w danym dniu. Rzut oka pozwalał mi zapamiętać oba słowa, które zaraz po wyjściu dyskretnie zapisywałem i przekazywałem. Nie wiem jednak, czy dane zostały zużytkowane choć jeden raz.

Oddział. Większość chłopaków naszego oddziału



Junak z Baudienstu.
Rys. Stanisław Dülz.
15.VI.1944 r.

— osiemnasto- i dwiętnastolatków — pochodziła z Łyczakowa. Łyczakowianinem był nasz dowódca drużyny „Leśnik”⁴ z ulicy Kurkowej, jak i dowódca drugiej drużyny „Adam”⁵. Tula („Alfa”) i Jurek Ragankiewicz z Łyczakowskiej byli podkomendnymi „Adama”; trzeciego członka tej drużyny, strzelca „Karmen”, odkryłem (po pięćdziesięciu latach, a w tym kilku latach wrocławskiej zażyłej znajomości) w osobie Jasia Słabego⁶. Bolek — „Żbik”⁷ pochodził z Kurkowej, Tolek, czyli „Zagłoba”⁸ z 29 Listopada, a Bolu⁹ z Wuleckiej. Konspiracja była szczelna: dowódcę plutonu „Wacława” (N.N.) poznałem dopiero w czasie „Burzy”.

Przechodzę do mych zapisków. Wybrałem z nich dziesięć kolejnych dni; oto one.

Notatki: Koniec niemieckiej okupacji.

Poniedziałek, 17 lipca 1944 r. „Wszystko dzieje się nagle... wczoraj komunikaty donosiły o ruchach wojsk pod Tarnopolem, dzisiaj w „Kommandostelle” wszyscy na górze na gwałt zbijają skrzynie i pakuja się. Ruch gorączkowy w całym mieście, wszędzie grupy ludzi o czymś rozprawiających. Podobno bolszewicy przerwali front i byli już 35 kilometrów od Lwowa! Z Tulą jedziemy rowerami na rogatkę Łyczakowską i na Kajzerwald, popatrzeć i posłuchać — ale cisza. W domu rewelacje o rzekomej „Burzy” ogłoszonej na dzisiaj(?). Kładę się spać późno, wciąż auta, czołgi i piechota idą Łyczakowską, wszystko na zachód.”

Wtorek, 18 lipca. „Rano gdy przyszliśmy na Pułaskiego — wszystko ładuje się. Idę na „Abteilung” na ulicę św. Zofii po przydział żywności. Ulicą maszeruje oddział Baudienstu „Jeden/Pięćset”¹⁰. Kochani chłop-

cy! Idą wesoło, śpiewając *W dzień deszczowy i ponury* i na przemian gwizdząc tę melodię. Widzę ich ostatni raz, gdyż zaraz ich zwolnią i puszcza do domów, oddział ulega rozwiązaniu. Chłopcy z Baudienstu, mimo że byli przymusowymi podwładnymi instytucji niemieckiej, byli ogólnie lubiani, nadawali ton ulicy lwowskiej. Maszerują i gwizdzą, ludzie wybiegają do nich, uśmiechają się, pozdrawiają rękami. Po południu z Basią na Kajzerwald, aby ze wzgórz rozpoznać sytuację na leżącej w dole równinie Zniesienia. Zaczęło się! Tam toczy się autentyczna wojna, walki frontowe: ku wschodowi jedna ściana dymu, w której gdzieś wystrzelają błyski wybuchów lub szare słupy pożarów. Na północnym wschodzie, za Zniesieniem, widzę samoloty sowieckie bombardujące szosę; widzę je dokładnie, jak są atakowane przez niemieckie myśliwce i strzały artylerii, ale uykają im¹¹.

Wieczorem w mieście słychać armaty. Od drugiej do trzeciej w nocy nalot, ciężkie bombardowanie przy rakietach oświetlających."

Środa, 19 lipca. „Z różyczką w klapie idę do Baudienstu — tu bezholowie, wyjeżdżają ostatnie wozy konnego eszelonu ze skrzyniami. W bramach sąsiednich domów spotykam resztę kolegów — nikt oczywiście nie zamierza skorzystać z propozycji ewakuacji. Ludzie pomagają, jak mogą, wskazują na bramy i przejścia. Brykamy przez podwórza na ulicę świętej Zofii, umówiwszy się na popołudnie — i do domów. Wielki rwetes. „Gazeta Lwowska” (za 25 groszy)¹² donosi o walkach na wschód od górnego Bugu i Wilna, a na wyścigach konnych na Persenkówce zapowiadają... wyścigi dwulatków.

Unterbergen koło Winnik zajęte, kanonadę słychać cały czas. W końcu o 14.00 padają pierwsze pociski artyleryjskie na Łyczaków. Idę do Jasi Kuczyńskiej na Łozińskiego, ale lekcje naszych kompletów przerwane. Śpię do 24.00 — budzi mnie chwilowa cisza, zaraz jednak napelniająca się strzałami."

Czwartek, 20 lipca. „Ogień artyleryjski osłabł. Idę na Nowy Lwów do Ali, potem na Asnyka do naszego „Home”. (Przypisek: „Home” — to było mieszkanie przy Asnyka 4 na II piętrze, miejsce naszych spotkań, uzyskane drogą matactw i łapówki od wojskowego Quartieramtu dla Tuli, który „spalony” w Krakowie musiał się nagle przenieść do Lwowa). Zastaję tu Tolka z Jasią, oglądamy i składamy przydzielonego nam „Stena”¹³. Dowiaduję się o ogłoszonym pogotowiu AK. W południe kilka solidnych bomb spada na miasto — strzelanina to cichnie, to się wzmacnia. Z Bolkiem do „Leśnika” — tu schodzą się wszyscy, omawiamy plan działania."

Piątek, 21 lipca. „Noc, wyjąwszy lekką pukaninę, upłynęła spokojnie. O 11 wychodzę, idę z Bolkiem i „Leśnikiem” do Rynku i zaznajamiam się z punktem, poznaję „Wacława”, naszego dowódcę plutonu. Z Bolkiem na Plac Teodora, rozglądając się na wszystkie strony, bo Niemcy łapią. Kupujemy benzynę na butelki zapalające, płacąc po 50 złotych za litr. Raptem popłoch, strzał, handlujący uciekają. Transakcję kończymy w bramie na Krakowskiej, kupiłem ostatecznie 5 litrów. Ale na Rynku w punkcie nie ma nikogo, taszczę benzynę na Asnyka do

„Home”. Spotykam Kazika Korbeckiego: mówi o zamachu na Hitlera i przewrocie w Niemczech, czemu nie daję wiary.

Na obiad do domu (konina!); kombinuję bańki na naftę i gonię do Jasi. Ledwie doszedłem — nalot. Widzę 20-30 przelatujących bombowców 2-motorowych, słychać silne detonacje. Bombardowano Kordeckiego, Janowską i Lewandówkę, co więcej — nie wiem. U Jasi spotykamy się wszyscy (siedmiu!), kujemy „walki uliczne” i omawiamy sytuację. Idę po naftę z Jaśkiem, przyłącza się do nas pięciu chłopców od „Alfy”. Kupuję 70 litrów po 25 złotych. O 7.30 zaczynają się potężne detonacje trwające do 9 — to Niemcy wysadzają różne obiekty w mieście.

W domu przy stole czytamy najnowszy numer „Wytrwamy!”. Noc była ciężka, parę razy schodziłem do piwnicy z powodu bombardowań. Około 2 w nocy gdzieś na południe od Łyczakowa błyski, wybuchy, palba karabinowa. Od godziny 5 rano odgłosy trwałej walki frontowej na południu i od strony śródmieścia¹⁴."

Lwów w ogniu. Sobota, 22 lipca. „Niewyspany, zmęczony, obserwuję z mansardy, co dzieje się na południu. Efektowny wybuch granatu wśród drzew na Cmentarzu Łyczakowskim. Gdzieś dalej, na południe od Łyczakowa, toczy się bitwa; obserwuję współdziałanie lotnictwa z walką na ziemi: cztery jankesy-88 i trzy messerschmity-109 atakują w locie nurkowym dwa punkty gdzieś za cmentarzem. Jedna z wież radiostacji wylatuje w powietrze w olbrzymim wybuchu, potem potężny wybuch za Domami Techników na Wulce i pożar koszar przy ulicy Św. Piotra na Łyczakowie. O ósmej rano szereg niemieckich czołgów stoi wzdłuż Łyczakowskiej koło mojego domu, ruszyły w dół ku śródmieściu. Chodnikiem, ku górze, idzie gęsiego oddział Niemców. Prowadzi wysoki oficer, Oberlejtant, w pełnym ekwipunku, sztywny i wyprostowany, za nim kilkunastu wyrostków — no, 16- lub 17-letnich, uginających się pod amunicją i pancerfaustami, niekiedy sprawiających komiczne wrażenie w zbyt dużych hełmach.

O dziesiątej trzydzieści coś dzieje się na ulicy przed moim domem: niespodzianie pojawiły się dwie furmanki zaprzężone w chude chłopskie koniki, na każdej z nich po dwóch żołnierzy w wyblakłych zielonkawych mundurach, w furażerkach — to Rosjanie! Wyjechali gdzieś boczną uliczką z Parku Łyczakowskiego i zapędzili się aż pod nasz dom. Momentalnie wybiegli ludzie, zrobiło się małe zbiegowisko — ostrzegli, że wokół jeszcze „Giermańcy”. Żołnierze zawrócili i wściekle popędzając batami koniki popędzili w tumanie kurzu z powrotem w górę Łyczakowskiej. Patrol bolszewicki dotarł również do cerkwi św. Piotra i Pawła — żołnierze postali i pogadali z mieszkańcami, po czym wycofali się na cmentarz. Idę do „Leśnika” — żadnych nowych instrukcji nie ma, obowiązuje pogotowie. Wracam bocznymi uliczkami. W domu przygotowuję czapkę-polówkę i orzełka — Boże mój!

Przez cały czas ogień artyleryjski. Wieczorem olbrzymi pożar gdzieś na Podzamczu. Ponoć w całym mieście są już bolszewicy, a tylko droga na Winniki jest w rękach Niemców. Prądu i wody nie ma¹⁵, pompujemy do wiader ze studni ulicznej¹⁶."

Niedziela, 23 lipca. „Mój dyżur przypadł od 12 do 2 w nocy. Siedzę na pięterku z psem Marcelkiem i obserwuję przez okno dalekie pole bitwy. Łuny wskazują ośrodki walki, kolorowe rakiety kierują ogniem artylerii. Co chwila nowe wybuchy.

Śniadanie o czarnej zbożowej kawie. Idę ostrożnie do „Leśnika” i dochodzę do połowy Łyczakowskiej. Dalej nie można. Niemcy okopują się na trawnikach przy placu św. Antoniego, pojedynczy żołnierze stoją po wszystkich rogach, za każdym załomem muru, milcząco rozglądają się dookoła; niekiedy są to starsi wiekiem ludzie. Kościół św. Antoniego zamknięty, wczoraj przy wysadzaniu stacji rozdzielczej koło kościoła poraniło szkłem masę ludzi. Doszedłem do kościoła Franciszkanek na Kurkowej i byłem na części mszy. Wracam tą samą drogą, staram się iść wyprostowany. Samoloty sowieckie kręcące się nad Łyczakowską raptem puszczają serię pocisków i zabijają konia i Niemca u wylotu ulicy Wójtowskiej.

Znów w domu — zrywam dojrzałe wiśnie, z góry obserwuję wybuchy na prawo za cmentarzem. Wpierw gwizd pocisku gdzieś nad naszym domem, potem błysk eksplozji (staram się fotografować), w chwilę potem huk. Odlamki niekiedy dolatują aż do nas. Rosjanie wczoraj ponoć wdarli się na Zyblikiewicza, Mikołaja i Akademicką, lecz zostali odparci. Nasze oddziały wczoraj jeszcze nigdzie nie występowały. Obserwuję ruch na ulicy: Niemcy chodzą tu i tam, nie pozwalają wychodzić z domów. Ogień artylerii wciąż słychać, też karabiny maszynowe i pojedyncze wystrzały¹⁷.

Armia Krajowa wychodzi z podziemia. Poniedziałek, 24 lipca. Rano zrywam się zbudzony okrzykiem, że „chłopcy z lasu” są już na rogatkach! Zbieram się, słuchając wiadomości o opanowaniu Łyczakowa przez Rosjan, wybiegam z aparatem fotograficznym i „łapię” dwóch pierwszych: ubrani w cywilno-wojskowe stroje, z karabinami, dumnie noszą swe białoczerwone opaski — to już ci, którzy z bronią weszli do współdziałania z wojskami sowieckimi przy wyzwoleniu Lwowa. Entuzjazm na całym przedmieściu!

Gonię do koszar Ułanów Jazłowieckich koło św. Piotra i Pawła i szukam jakiegoś karabinu, znajduję tylko hełm. Pośpiesznie szykuję chlebak z jedzeniem (podpłomyki pieczone przez Matkę na blasze), zabieram aparat fotograficzny i w końcu wychodzę — w moim pokrzywanym baidienstowym „battle-dressie”, ale w polówce z orzelkiem.



W polówce z orzelkiem (24 VII 44 r.)

Na rogu Asnyka spotykam Bolka i „Leśnika” — nakładam opaskę. Staję się żołnierzem polskim, wychodzimy z konspiracji!

W naszym „Home” na Asnyka zastają Tulę i chłopców z drużyny „Adama”. Są już uzbrojeni. W lokalu byli już wczoraj; „Karmen” przyszedł z Łyczakowa gdy Niemcy okopywali się na rogu Piłsudskiego i Piekarskiej, skierowując ckm-y ku Łyczakowskiej. W nocy walka toczyła się na Asnyka. Dwuosobowy patrol krasnoarmiejców szedł ulicą Asnyka ku Piłsudskiego. Niemiec, stojący na rogu Asnyka, koło domu Nelly¹⁸, strzelał w głąb Asnyka i trafił Rosjanina, „starszynę”, który upadł ranny wołając o pomoc. Drugi Rosjanin wycofał się. Rannego „starszynę” wciągnęły do bramy naszego domu kobiety obserwujące walkę; na jezdni została porzucona pepesza. Tula, ubezpieczony z okna naszego lokalu przez kolegę ze „Stenem”, wybiegł z bramy i porwał pepeszę. Rano Tula wyciągnął jeszcze nagan z kabury poległego rosyjskiego czołgisty, który zwisał z wjazdu unieruchomionego czołgu u zbiegu Asnyka i Piłsudskiego. „Karmen” chwali się swym karabinem mauserem i rosyjską „samozariadką” — 10-strzałowym karabinem rosyjskim, które znalazł we wnętrzu opuszczonej Oberfeldkommandantury na Batorego.



Bolek i „Leśnik” na podwórzu Oberfeldkommandantury (24 VII 44 r.)

Też i kłopotliwe wydarzenie. Wczoraj, gdy na dole byli jeszcze Niemcy, „Karmen” przypadkowo sprowadził biedę na kark: oglądając stena odciągnął sprężynowy zamek i puścił go luzem, nie wiedząc, że wewnątrz jest pocisk. Pistolet wypalił, kula utkwiała w ścianie. Strzał utonął, na szczęście, w ogólnej kanonadzie, ale rozsierdzony „Adam” wlepił „Karmenowi” karną stójkę — cóż więcej mógł zdziałać?

Ruszyliśmy zaraz z Bolkiem i „Leśnikiem” na Batorego. Na ulicach pełno gruzu, odlamki szkła chrzęszczą pod butami, sporo pojedynczych żołnierzy sowieckich, coraz więcej „naszych” z opaskami. Przy stojna pani w średnim wieku, w staromodnym cwikierze, ale z opaską na rękawie bluzki, niesie gdzieś trzy przewieszone przez ramię karabiny, wzbudzające naszą zazdrość. Przeszukujemy budynki Oberfeldkommandantury wchodząc wejściem od Kubali, poszukujemy broni — ale ja znajduję tylko berthiera, przestarzały trzystrzałowy karabin francuski z małą ilością naboju. Bałagan straszliwy, tu i ówdzie leżą trupy Niemców, jeden w pobliżu bramy od strony ulicy

Kubali (ktoś zdążył zdjąć mu buty). Robię pośpiesznie zdjęcie Bolkowi i „Leśnikowi”, którzy tymczasem zdążyli już zaopatrzyć się w niemieckie mausery i trzonkowe granaty. Krasnoarmiejcy mówią o nas: „polskije partizany”.

Idę z „Leśnikiem” i łączniczką do „Wacława” po rozkazy. Na Rynku rozstawione sowieckie działa z długimi lufami; Rosjanie strzelają ponad dachami kamienic, z tamtej strony lecą pociski w naszą stronę miasta. Na Ratuszu flagi: amerykańska, angielska, sowiecka i polska. Przyszłuchuję się utyskiwaniu, że przygotowaliśmy za mało kompletów flag.

Przygotowuję wraz z Bolką punkt dla naszej drużyny w domu, gdzie mieszka Nelly, przy Piłsudskiego 4 na pierwszym piętrze, w opuszczonym lokalu niemieckiej firmy budowlanej „Kurt Heim”. Wyjmuję z kieszeni kredę i dużymi literami na wystającym gzymsie przy bramie piszę „ŚWITEŻ/II”. „Szo ce znaczyt?” — zapytał jeden z dwójki żołnierzy sowieckich przypatrujących się temu. — „Świteż” — to szkoła, a II to klasa. Zajmujemy ten budynek dla „szkoły” — objaśnił spokojnie Bolek. „Aha, szkoła, da?” „Da” — „A wy, znaczyt, profesura, da?” — zapytał patrząc na nasze umundurowanie, karabiny i opaski. „Da, da!” — odparliśmy.

W lokalu na Asnyka coraz więcej chłopaków. Przynieśli skrzynki z granatami ręcznymi i osobno pudełka z zapalnikami do nich. Niemiecki granat ręczny — Stielhandgranate — trzeba wpierv było „zaostrzyć”, to jest rozkręcić pokrywkę główki i delikatnie włożyć do środka zapalnik — małą rurczkę, po czym założyć główkę z powrotem. W pokoju „Home”, wychodzącym na podwórko, wyłożyliśmy wraz z Jurkiem Ragankiewiczem pod oknem skrzynkę z granatami i zaczęliśmy „ostrzenie”. Piękna pogoda, słońce pali od strony południowej... Wtem huk straszny, ciemność, zapach prochu. Podmuchał nas na podłogę. W półmroku, w pełnym kurzu powietrzu zbieram się, wypływając wapienny pył, Jurek również się podnosi, lecz utyka na nogę. To pocisk artyleryjski wybuchł uderzywszy w ślepa ścianę sąsiedniej kamienicy, tuż naprzeciw naszego okna. Ściana naszego pokoju była posiekana odłamkami. Do dziś nie mogę pojąć, jakim sposobem nie oberwałem, ani że nic nie trafiło w stertę granatów leżących obok okna. Ale Jurek jest ranny, mały odłamek utkwiał mu w nodze. Zbiegamy do piwnicy, robię opatrunek, ale odłamek tkwi gdzieś głęboko; bez skalpela i pensety nie da rady wyjąć.

Po południu dochodzą pozostali członkowie naszej drużyny, Jasek i Tolek. Nieopisana radość i entuzjazm, w „Home” po dwadzieścia i trzydzieści osób na raz. W oknach domów pojawiają się białe-czerwone chorągwie, na murach — odezwy polskie i sowieckie. O piątej po południu zbiórka całego plutonu wzdłuż chodnika na Asnyka, meldujemy się „Wacławowi”. Każdy z nas ma już karabin, puszkę na amunicję lub ładownicę, 1-2 granaty i hełm niemiecki, niektórzy taśmy z amunicją do ckm-ów. Mamy mundury — liche baidienstowe battle-dressy i opaski białe-czerwone do niemieckich hełmów.

Nasza drużyna przechodzi ulicą na Piłsudskiego 4. Zajmujemy lokal, a „Leśnik” i Bolek idą do komendy

na Kochanowskiego po stemple na nasze opaski; ja w zastępstwie obejmuję dowództwo. Czekamy. Ze znalezionej funta kaszy hreczanej warzę kolację, którą o 10 w nocy z emfazą podaję — na słonince, ze „szkwarczkami”. Wszystkim smakuje, nawet Tula przyszedł z Asnyka i je razem z nami. Okna barykadowujemy czym się da przed odłamkami.



Narożnik Asnyka i Piłsudskiego (25 VII 44 r.)

Od pierwszej w nocy aż do rana regularnie co 20 minut salwa jednej baterii strzela w nasz blok domów i ulicę Piłsudskiego. Układamy się do spania we wnętrzu lokalu, w łazience osłoniętej ścianami ze wszystkich stron. Początkowo kładę się spać w przestronnej wannie (wody w rurach i tak nie ma), ale po mojej kolejce warty (od 3.00 do 4.15) układam się na miejscu Tolka w korytarzyku.”

W odwodzie. Wtorek, 25 lipca. „Leśnik” wcześniej przynosi nam ostemplowane opaski, a także i zaświadczenia, że jesteśmy żołnierzami Wojska Polskiego w walce z Niemcami.

Ojciec Bolka, pan Mieczysław, został wczoraj ciężko ranny na ul. Piłsudskiego przez odłamki granatu. Bolek został przy nim¹⁹. Dalej siedzimy na placówce.

Niespodzianie „Leśnik” przynosi od „Wacława” rozkaz... ukrycia broni i rozejścia się, możliwie blisko centrum. Zamykamy broń w łazience i idziemy w okolice ulicy św. Zofii. Odwiedzam po kolei dziewczęta — u Jadzi na Obozowej zostaje bardzo gościnnie przyjęty śniadaniem; na Obertyńską do Basi — tu myję się i szoruję. Ponieważ artyleria wciąż wali w naszą stronę, rodzice usuwają się do piwnicy. Wybuchy w pobliżu domu; po długim naleganiu i wołaniu matce Basi udaje się spędzić nas z góry na parter. Po południu z Jadzią i Tolkiem do Jaśka (na św. Zofii); w sąsiedztwie u państwa Kimlowskich wesołość, gra na fortepianie, tańce, oczywiście włączamy się.

O zmierzchu zabieram Tolka i Jaśka i idziemy z powrotem na punkt, dowiedzieć się co dalej. Na Dwernickiego otaczają nas masy panicznie uciekających ludzi, głównie mężczyzn. Tłum coraz to gęstnieje, wszyscy idą jezdnią, całą szerokością, w stronę wschodnich dzielnic. Ponoć na Gródku Niemcy kontratakują i mordują mężczyzn²⁰.

Wyprzedzając tłum gonimy na Asnyka — tu są już wszyscy. Wobec gęstej kanonady w pobliżu i braku rozkazów decydujemy się przejść z całą bronią na



Skrzyżowanie Łozińskiego i Kochanowskiego (w głębi) z Piłsudskiego. Zniszczony czołg sowiecki przed spalonym sklepem Meinla. (25 VII 44 r.).

pobliską ulicę Kochanowskiego, do budynku Komendy. Strzelanina wzmagą się, Niemcy ponoć następują. Jest już noc, ciemność zupełna. Mija nas sowiecki batalion dążący na Łyczaków, żołnierze pytają o drogę. Panikę uciekających ludzi udało się uśmierzyć, i tylko awantury z jakimiś Żydami, którzy wyszli z ukrycia i teraz głośno lamentują, trzeba ich gdzieś ulokować.

Zajmujemy dom nr 29 przy Kochanowskiego i w pogotowiu bojowym oczekujemy na dyspozycję. Dowództwo przy Kochanowskiego 27 okopane, na skwerze przy ckm-ach leżą chłopcy w hełmach i czekają. Siedzimy na podwórku, czas się dłuży, ja gram na harmonijce lwowskie „kawałki”.

Wraca „Leśnik”, zbiórka, podrywamy się do szeregu. „Leśnik” został przez komendanta obrugany za nasze samowolne przejście, dostajemy rozkaz powrotu na Asnyka. Niespodziewanie w ciemnościach z góry słyszę zawołanie: „A uważajcie chłopcy na bombardowanie!”. Rozpoznaję, to przecież głos „Pana Radcy”, częstego gościa na naszej łyczakowskiej kwaterze, podkomendnego „Pana Nowaka”! „Tak jest, panie radco!” — zawołałem.²¹

Przed dziesiątą jesteśmy z powrotem na Asnyka pod 4-ką, ale brama naszego domu zabarykadowana. Lokujemy się w klatce schodowej domu nr 2. Strzelanina zmniejsza się, ale za to szaleje w pobliżu jakiś pożar. Od 12 do 2 stoję z Jaśkiem na warcie. Na rogu Piłsudskiego i Asnyka linia czat sowieckich, stoją działa. Dowiaduję się od krasnoarmiejca, że „zawtra nastąpienie”. Niemcy wciąż strzelają gdzieś od strony Województwa. Śpię dwie godziny na kamiennej posadzce, pod głową worek z granatami. O czwartej rano wyruszam z dwoma chłopakami do koszar „40-ki” po granaty; trzy skrzynki dekurujemy u Janka i wracamy na Asnyka, każdy z jedną skrzynką granatów i jedną amunicją, zaś nasze granaty zza pasa dajemy chłopakom przy Komendzie na Kochanowskiego.”

Pożegnanie z bronią? Środa, 26 lipca. „Znów w lokalu „ostrzemy” granaty. Tolek i „Leśnik” idą do dowódcy dowiedzieć się o stanie rzeczy. Wystawiam posterunek, w końcu można coś zjeść. O 8 wracają: rozkaz ukrycia broni i rozejścia się, z przestrzeganiem

planu alarmowego! Ładujemy wszystko w „Home” do pieców i gdzie się da. O 11 wracam na Łyczaków, witany owacyjnie. Wiele nie opowiadam, myję się i walę spać. Na siódmą wieczór umówiliśmy się u Jóźwy, jednak z powodu straszliwej strzelaniny zostaję w domu i spisuję notatki. Idę z kuzynem po wodę do ulicznej studni. Ojciec nosi się jeszcze z projektem trzymania wart w domu, ale zwalczam ten pomysł. Wieczorem jeszcze strzelanina.”

Czwartek, 27 lipca. „Budzi mnie „Alfa”, zaraz potem przychodzi „Adam”, wychodzimy na miasto. Lwów jest dosłownie zalany przez Czerwoną Armię, wciąż przybywa coraz więcej wojska, kolumny maszerują na zachód, kurz straszliwy. Tacy smarkacze w tej armii, w dodatku wiele kobiet-żołnierek w mundurach! W mieście wszędzie gruz, odłamki tynku, cegieł i szkła pod nogami.

Po powrocie do domu zastaję kartkę od „Leśnika” z zawiadomieniem o alarmie i poleceniem stawienia się na godzinę czwartą w budynku „Kripo” na placu Halickim, gdzie mają ponoć wszystkim wykonać fotografie do zaświadczeń wojskowych, jakie mamy otrzymać od władz sowieckich. Gonię więc, w mundurze, w czapce i z opaską. Spotykam jednak „Wacława”, który daje nowe stanowcze polecenie: po cichu zdjąć opaski, ukryć broń i rozejść się do domów. Składam opaskę, chowam do kieszeni.

Jurka Ragankiewicza zatrzymał na ulicy Batorego patrol sowiecki za noszenie opaski; zaprowadzili go na pl. Akademicki, do dawnego komisariatu policji ukraińskiej, spisali personalia i kazali wrócić do domu.

Tula chce czyścić „Home” — ostatecznie to jest jego mieszkanie! — wynosimy więc resztki broni i amunicji do koszar „40-ki”, skąd Jóźwa wieczorem ma wywieźć i zadekować u Janka w piwnicy. Jak to? Więc już koniec? Nie, nie damy się.”

Zapiski z dalszych dwóch tygodni — aż do 8 sierpnia 1944 r. — to opis poszukiwania pracy i żywności, rozterek spowodowanych wieściami o aresztowaniach oficerów AK — uczestników „Burzy”, na koniec rejestracją mobilizacyjną. Prawie wszyscy opisani tu koledzy opuścili Lwów w tych dniach. Ja wraz z Jurkiem Martulą wyjechałem 9 sierpnia — drogą przez Janów i Krakowiec, a później przez nieobsadzoną jeszcze granicę na Sanie koło Radymna. Jechaliśmy siedmioma kolejno zatrzymywanymi samochodami z wojskiem lub sprzętem (w tym też i na jednej kuchni polowej). Wieczorem tego dnia znaleźliśmy się wszyscy w leśniczówce Wesoła koło Przeworska, u gościnnego inżyniera-leśnika Zbigniewa Opałka, brata Bolka. Ale to już inna historia.

L. Sawicki — Akcja „Burza” we wspomnieniach. Przypisy.

¹ Mjr dypl. Jan Kazimierz Lecz, „cichociemny”, w owym czasie (1943-1944) szef sztabu Okręgu AK Lwów, rozstrzelany przez Niemców w czerwcu 1944 r. (vide biogram w: J. Tucholski, „Cichociemni”, str. 356).

² Prof. dr hab. inż. Jan Darlewski, ps. „Nemo”.

³ Zwany popularnie Tula, ps. „Alfa”.

⁴ Witold Gawalewicz

⁵ Stefan Dozorcow, po wojnie literat, teatrolog, dyrektor największego teatru PRL (zmienił nazwisko).

⁶ Mgr Jan Marian Słaby, nauczyciel kultury fizycznej.

⁷ Bolesław Opalek, syn Mieczysława, znanego lwowskiego literata, bibliofila i pedagoga, por. „Semper Fidelis”, nr 3-4, 1992 r.

⁸ Dr inż. Witold Kowalenko, chemik.

⁹ Ppik. dr Bolesław Janiszewski, ginekolog (+).

¹⁰ Oddział Baudienstu nr 1/500, złożony z polskich junaków, był zakwaterowany w byłym Zakładzie Ociemniałych w górnej części ulicy św. Zofii.

¹¹ To oddziały radzieckiej 3-cie Armii Pancerniej Gwardii, obchodzące Lwów od północy. Vide: D. Leluszenko — „Pancernym szlakiem”, wyd. MON, 1983.

¹² Był to ostatni numer gazety wydany w niemieckim Lwowie (vide: G. Hryciuk — „Gazeta Lwowska 1941-1944”, Wrocław, 1992).

¹³ Angielski składany pistolet maszynowy, typowa broń zrzućców dla Polski.

¹⁴ W nocy z 21 na 22 lipca rozpoczęło się natarcie nadchodzącej od południowego wschodu 4-tej Armii Pancerniej pod dowództwem gen. D. Leluszenki. Do miasta jako pierwsze wtargnęły oddziały 63-ciej brygady pancerniej z 10-go korpusu pancernego.

¹⁵ Nieścisle. Wojska radzieckie w tym dniu o świcie opanowały

rogatkę Zieloną i ulicę Kochanowskiego dochodząc do szkoły ewangelickiej, ale zostały wyparte do ganic miasta (J. Węgierski — „W lwowskiej Armii Krajowej”, 1989).

¹⁶ Niemcy wysadzili elektrownię w nocy z 21 na 22 lipca o godz. 1.30 (B. Mękarska-Kozłowska, „Burza nad Lwowem”, 1992).

¹⁷ W istocie 23.07. Łyczaków był jeszcze w rękach Niemców, ale czołgi sowieckie idące od południowego wschodu doszły do Placu Halickiego i Rynku. Patrol AK wywiesił na ratuszu flagi Polski i trzech sprzymierzonych mocarstw: Anglii, USA i ZSRR (S. Pempel — „ZWZ-AK we Lwowie”, 1990).

¹⁸ Mieszkanie pp. Geppertów przy ul. Piłsudskiego 4.

¹⁹ Naswiasem mówiąc, to pan Mieczysław był na dobrym rauszu po toastach wzniesionych zawartością domowego gąsiorka, i szedł ulicą głośno śpiewając z radości, że Niemców diabli wzięli. Pocisk wybuchł tuż za nim, odłamek trafił w plecy. Wyzdrowiał, dożył 83-go roku życia. Taki już był. O znacznej rodzinie Opaleków w dalszej części wspomnień.

²⁰ Wydarzenie to nie miało uzasadnienia. Przyczyną paniki było wycofanie się któregoś naszego oddziału na Lewendówce spowodowane kontratakami Niemców.

²¹ „Radca”, mjr Alfons Jabłoński, w czasie „Burzy” szef sztabu Okręgu Lwowskiego AK. Uniknął aresztowania przez NKWD, ale później został zgładzony w 1946 r. przez UB we Wrocławiu. Pochowany na Cmentarzu Osobowickim.

ADAM GAJDA ps. „GAJEK”

Łyczakowska czternastka

W czasie pierwszej okupacyjnej zimy w zakładach inż. Edmunda Romera, w kuźni lub w narzędziowni zbierała się grupa 17 harcerzy z plutonu „Antoniaków” 9-tej Lwowskiej Drużyny Harcerzy. Przewodził tej grupie dh. Władysław Załogowicz. Do tej drużyny należał on od 1937 r. chodząc wtedy do 7 klasy szkoły im. św. Antoniego, przy ul. Głowińskiego. Dla tej grupy dh. Załogowicz przyjął nazwę PLUTONU GRUNWALD. Zbiórki odbywały się albo w zakładach inż. Romera, albo też w kościele MB Ostrobramskiej. Opiekunem plutonu był ks. Józef Czarnecki oraz ks. Tadeusz Repich. Pluton Grunwald rozpoczął swą działalność od włączenia się do zbierania żywności dla kuchni prowadzonej przy tym kościele dla około 2000 osób, bez różnicy narodowości i wyznania. Akcja ta trwała do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Kucharkami były panie: Paulina Tomaszewska, Maria Słowikowa, Maria Załogowiczowa, Drapałowa i matka farmaceuty Zdzisława Rakoczego. Zmiana okupanta stworzyła nowe warunki życia ludności polskiej. Ukraińcy sądząc, że Niemcy dadzą im pełną władzę — zaczęli znęcać się nad Polakami. Tak było m.in. w Brzuchowicach. Postawiliśmy sobie dać im nauczkę. Mieliśmy 4 rewolwery FN, a kapral Stefan Pietruszczak ps. Tatar, który nami dowodził, miał siódmkę Waltera. Oprócz tego mieliśmy 10 granatów i 2 bagnety. Wtargnęliśmy do posterunku Ukrainische Polizei — było siedmiu policjantów, od których odebraliśmy 2 rewolwery (Steyer i Nagan). Zagnaliśmy ich następnie do piwnicy, którą zawałono różnymi gratami. Dochodziły nas potem słuchy, że policjanci podawali jakoby ich napadł desant angielski. Działalność naszej grupy jak się później okazało obserwował już od pewnego czasu mjr Włast (Janusz Dunin). Poprzez naszego duchowego opiekuna wyznaczył Załogowiczowi spotkanie w kościele MB Ostrobramskiej, zabrał go do miesz-



Mjr Janusz Dunin ps. „Włast” (pierwszy od prawej) na spotkaniu weteranów 6 p. Strzelców Konnych z Żółkwi.

kania Romana Madurowicza przy ul. Łyczakowskiego (powyżej kapliczki) i tam odebrał przysięgę na różaniec. Za tydzień Załogowicz został przyjęty do tajnej szkoły podoficerskiej którą prowadził mjr Włast. Wykładowcami byli: plutonowy Roman Krawczuk ps. Kawka, wachmistrz Leopold Szczucki („czerwona d...”) ps. Zbir, kapral Leon Sorokowski ps. Leon, i chorąży Tadeusz Chmielewski ps. Wienia-



plut. 14 p. U. J. Roman Krawczuk
zm. 28 VII 1988 r.

wa (prawdopodobnie od rotmistrza Białoszewicza). Zbiórki i szkolenia były prowadzone w różnych miejscach, najczęściej u Teofila Pelechacza ps. Salamandra. Szkolenie trwało do końca 1943 r. Ćwiczenia praktyczne odbywały się na Kajzerwaldzie, a ostre w lasach winnickich lub pod Czarowską Skalą. Na końcu szkolenia por. Tomasz (Bolesław Czajkowski) awansował Załogowicza na starszego szeregowego. W międzyczasie było szereg akcji dla zdobywania (kupno lub kradzież) broni. Pod koniec lata 1943 w godzinach popołudniowych przewoziliśmy broń. Przy przesiadaniu z czwórki na jedynekę na rogu Piotra i Pawła naprzeciwko komisariatu policji ukraińskiej doszło do awantury z ukraińskim policjantem, który od Tatara zażądał ausweisu. Tatar nie miał przy sobie żadnych dokumentów i zaczął się z nim kłócić. Wobec tego policjant zaczął go ciągnąć w stronę komisariatu. Wtedy Tatar powiedział, że mu pokaże ausweis. Sięgnął do kieszeni i zamiast dokumentu strzelił mu w głowę. Na huk wystrzału wyleciało kilkunastu policjantów do których Kazimierz Berdak ps. Repete, Adam Drapoła ps. Bolesław i Robert Drzewiecki ps. Pagórek dali kilkadziesiąt strzałów. Podobno było kilku zabitych i rannych (łącznie ponad 10 osób).



Od lewej:
„Felek” –
Władysław
Załogowicz,
„Kaczuska”
– Leopold
Konciewicz
i „Bolesław”
– Adam
Drapoła

Przy wycofywaniu zostaje ranny w nogę Michał Terlecki ps. Misza, który został ukryty w chaszczach na cmentarzu Łyczakowskim. Po udzieleniu pomocy przez lekarza przenieśliśmy Miszę do rodziny Kordasiewiczów zamieszkałych przy trakcie gliniańskim, gdzie pozostał przez okres leczenia.

Jeszcze na początku 1943 r. na kolonii Krzywczyckiej Felek (gdyż od pewnego czasu Załogowicz miał ten pseudonim) zorganizował pluton, który nazwał „RACŁAWICE”. Składał się z 35 ludzi, mieli 2 karabiny, jeden rewolwer siódmkę i granaty. Dowódcą został Ludwik Grzesiak ps. Kmicic. Jednocześnie na rozkaz Wieniawy (a chyba rtm. Białoszewicza) Felek zorganizował trzeci pluton WESTERPLATTE, obejmujący Żłoby, Pasieki i Jałowiec – dowodził nim Karol Zdebelak ps. Rogalik, zamordowany na początku 1945 r. w Gross Rosen. Późną wiosną 1944 r. byliśmy już w lesie winnickim. Pewnego dnia nasz



Robert Drzewiecki

patrol zauważył, że do tego lasu ucieka dwóch ludzi. Patrol zatrzymał ich. Jeden z nich, starszy, orientując się, że został zatrzymany przez Polaków rozpruł marynarkę i okazał legitymację oficerską na nazwisko Marcina Modlingera – porucznika piechoty.



Por. Marcin Modlinger
(Modliński) ps. „Asesor”
(zdjęcie z „Dzieje Ułanów Jazłowieckich”)



Por. Roman Madurowicz
ps. „Osa”
(zdjęcie z „Dzieje Ułanów Jazłowieckich”)

Na to Mieczysław Jacak ps. „Koniak”, i Jan Zdebelak ps. Cygan odprowadzili ich do por. Romana Madurowicza ps. „Osa”. Por. „Osa” po sprawdzeniu zaproponował por. Modlingerowi dowództwo plutonu Grunwald na Pasiekach, a następnie na Krzywczycach dla plutonu Raclawice. „Osa” został z nami na Pasiekach do końca Burzy, a por. Modlinger ps. Asesor był na Krzywczycach. Na początku lata 1944 (chyba koniec maja) plutony Grunwald, Raclawice i Westerplatte zostały połączone, a dowództwo nad nimi objął słynny Draża. Obejmowały linię Pasieki

— Krzywczyce — Górny Łyczaków. Z powodu dużej liczby zaprzysiężonej młodzieży przekazano pewną jej liczbę plutonom wiejskim por. Jerzego Węgierskiego ps. „Antek” (Dalia na Drugiej Wólce) i por. Bolesława Czajkowskiego ps. Tomasz w Biłce Szlacheckiej. Zachowały się liczne zdjęcia z tego okresu w zbiorach Felka oraz bardzo liczne oświadczenia i wspomnienia świadków. W zasadzie, już od zimy aż po akcję Burza te trzy plutony pełniły całodobową służbę wartowniczą. Felek był z nami cały czas na linii Pasieki — Górny Łyczaków.

Akcja Burza dla naszych oddziałów rozpoczęła się w nocy w 21 na 22 lipca 1944 r. natarciem na ul. Zielonej, na Pasiecznej i w parku Łyczakowskim. Brak było dobrej łączności, nie było oficera. Ruszyliśmy w stronę Łyczakowa, ale ogień niemiecki wstrzymał natarcie. Rano 23 lipca drugim natarciem zdołaliśmy wyprzeć Niemców z ul. Pasiecznej. Przydzielony został przez Sowietów ciężki wóz pancerny na którym przy wchodzeniu celem pilotowania zginął Stanisław Wańczak, zastrzelony przez niemieckiego strzelca wyborowego. Pod kościołem Ostrobramskim na górnym Łyczakowie zginął st. ułan Edward Serba ps. „SPA-1”. Ostatnią posługę kapłańską udzielił mu ks. Józef Nęcek. Zginął wtedy również Bolesław Nowicki i jeszcze jeden, którego nazwisko nie było

znane, a ciężko ranny Antoni Kryl zmarł następnego dnia, pochowany przez ks. Nęcka.

Na tym zakończyły się nasze bojowe działania cztertnastki. Nadszedł nowy okupant, uzurpujący prawo do tej ziemi.



Stoją od lewej: Stanisław Pieniążczak, NN, Antoni Kryl poległ 23 VII 44 r. Siedzą: Władysław Załogowicz ps. „Felek” i Józef Czerwiński

JERZY ADAMEK

Z przebiegu operacji „Burza” na Lewandówce

Mieszkaliśmy od pokoleń we Lwowie na swoich włościach na Lewandówce przy ul. Lotniczej pod nr 83. Mój brat Zbigniew urodził się tam 24 grudnia 1924 roku. Szkołę podstawową ukończył też na Lewandówce. W okresie okupacji niemieckiej pracował w warsztatach mechanicznych przy ul. Janowskiej. Na początku kwietnia 1944 roku jako żołnierz Armii Krajowej, Dzielnica Zachodnia rejon 3, do którego należała Lewandówka, wyniósł z warsztatów przy ul. Janowskiej, ryzykując niestychanie (przechodził przez niemiecką wartownię) akumulatory potrzebne do rozruchu radiostacji.

Od 15 kwietnia komendant Okręgu Lwów ppłk. Stefan Czerwiński, kryptonim „Dalia” zaczął tworzyć oddziały leśne 19 i 22 pp AK w rejonie na północ od Janowa. Brat mój Zbigniew ps. „Cichy” ze swoim przyjacielem Kazimierzem Filipskim ps. „Broniek” i innymi żołnierzami AK z Lewandówki zostali przewiezieni samochodem przez Edwarda Hawrysia do Janowa. Z bronią i akumulatorami udali się na miejsce zgrupowania koło leśniczówki Kertyna. Lasy Janowskie pełne były wojska niemieckiego i oddziałów UPA. Zanim nastąpiła pełna koncentracja zgrupowania, gdzie przebywał mój brat i jego koledzy z Lewandówki, zostali rozbici i małymi grupami wycofywali się przez Gródek Jagielloński, Biłohorszczę na Lewandówkę. Część z nich została w Janowie ujęta przez Niemców (transportowali rannych) i odstawiona do więzienia na ul. Łackiego. Stąd po torturach Kazimierz Filipski ps. „Broniek” wywieziony został do Dachau. Mój brat wrócił na Lewandów-

kę przygotowując się do operacji Burza. 24 VII 1944 roku zgłosił się do pododdziału 3 rejonu AK dowodzonego przez ppr. Janiaka ps. „Michał” zgrupowanego w szkole powszechnej na Lewandówce. 25 VII wycofujący się Niemcy oraz niedobitki rozbitej pod Brodami ukraińskiej dywizji SS Galizien dokonały silnego natarcia. Walki o szkołę trwały do następnego dnia. Do ostatka bronili ją mój brat, Stanisław Skop, Antoni Zimmerman, Bielecki — maszynista kolejowy i kilku innych, których nazwisk nie znam. W czasie wycofywania się z płonącego budynku Zbigniew został śmiertelnie ranny. Jego ciało znaleziono w ogródku sąsiedniej posesji.

Brat mój został pochowany z honorami wojskowymi na miejscowym cmentarzu na Lewandówce. Na krzyżu umieszczono godło Polski i napis „Poległ za Ojczyznę”. Kondukt pogrzebowy prowadził ks. Smereka, który uczył brata religii w szkole powszechnej.

9.V.1945 roku zostaliśmy ostrzeżeni i wyjechaliśmy do Polski do Kędzierzyna. Sąsiedzi, którzy jeszcze pozostali na Lewandówce przekazali nam informację, że nazajutrz po naszym wyjeździe przyjechało o 4-tej rano NKWD by nas zabrać do transportu na Sybir.

Po wojnie kilka razy byłem we Lwowie i usiłowałem odnaleźć mogiłę brata. Ale dopiero w 1990 roku w maju odszukałem na cmentarzu na Lewandówce krzyż z metalową tabliczką. Grób był kompletnie zrównany z ziemią, wokół pełno było pustych butelek po wódce i zardzewiałe puszki po konserwach. Profanacja cmentarza na Lewandówce jest zastraszająca. Tak wyglądają miejsca pamięci gdzie leżą cisi bohaterowie.

Lwów — Kościejów — Stanisłówka

Na przełomie marca i kwietnia 1944 r. w ramach „Burzy” z rozkazu por. „Marka” został utworzony we Lwowie Oddział Operacyjny. „Marek” por. Bernard Grzywacz był komendantem lwowskiego obszaru NOW, a po scaleniu z AK — oficerem d/s organizacji partyzanckich w Komendzie Okręgu Lwów. W 1944 r. aresztowany pod nazwiskiem M. Orłowski i skazany wyrokiem sądu sowieckiego na karę śmierci. Wyrok został zamieniony na 20 lat katorgi, którą odbywał w workuckich łagrach. W 1957 r. zwolniony, powrócił do kraju, osiedlając się we Wrocławiu.

Zadaniem Oddziału było zasilenie samoobrony wsi polskich Kościejów i Stanisłówka, zarówno w przeszkolonych partyzantów, jak i broń. Skład osobowy Oddziału Operacyjnego: dow. por. Jacek Lisowski „Orda”, z-ca Kazimierz Skórski „Kupiec”. Tadeusz Białkowski „Rekin”, Adam Lewicki „Adam”, Tadeusz Cisek „Kmicic”, Lidia Mikulska „Lolka”, Edward Dyl „Hannibal”, Jan Mikulski „Janosik”, Franciszek Filip „Kania”, Aleksander Niementowski „Krzysztof”, Tadeusz Filip „Walter”, Jan Radomski „Żegota”, Witold Gajewicz „Leliwa”, Tomasz Rzczuch „Wilczek”, Edward Gigiel „Ed”, Eugeniusz Skowron „Budrys”, Marian Graboń „Luśnia”, Mieczysław Szupinski „Łoś”, Jan Jędrzejewski „Jemiola”, Emil NN „Rustan”, Marian Kielbowicz „Twardowski”, Jan NN „Kos”.

Ze Lwowa wyruszyła grupa 25 osób. Brakujących nazwisk, imion lub pseudonimów nie udało się ustalić. Zbiórka Oddziału miała miejsce dnia 6 kwietnia 1944 r. (Wielki Piątek) w tzw. „Wantolach Kliparowskich” — wawozie za Cmentarzem Janowskim przy ul. Janowskiej. Na miejsce zbiórki broń w postaci trzech lekkich karabinów maszynowych została przyniesiona (zawinięta w koce), a reszta — broń krótka, automaty typu MP, pepesze, kb. za kbk i granaty ręczne produkcji niemieckiej dowieszone zostały samochodem ciężarowym z niemiecką rejestracją. Pojazd był prowadzony i eskortowany przez naszych chłopców w mundurach Organisation Todt (OT). Dostarczona broń wystarczała na uzbrojenie około 40 osób. Plan marszu — podany przez „Orde” — zakładał dojście w ciągu dwu dni do miejscowości Stanisłówka (32 km od Lwowa) przez Kościejów (15 km od Lwowa). W trakcie marszu doszliśmy do torów kolejowych linii Lwów — Żółkiew. Tory były ułożone na nasypie. Słyszeliśmy odgłosy nadjeżdżającego z daleka pociągu. Dwóch kolegów weszło na nasyp, reszta położyła się na ziemię, aby się ukryć. (Pociągi w czasie jazdy były strzeżone przez żołnierzy niemieckich). Po przejeździe pociągu „Jemiola” zauważył, że dwaj nasi koledzy znajdujący się na nasypie są prowadzeni pod karabinami przez dwu żołnierzy niemieckich. Zameldował o tym dowódcy. „Budrys” i chyba „Luśnia” pobiegli za prowadzonymi kolegami i bez strzału udało im się ich odbić. Młodszy żołnierz niemiecki zdążył zbiec, a dużo starszy został przez naszych złapany. Pojmany Niemiec został zmuszony do niesienia naszego karabinu maszynowego. Ponieważ obawialiśmy się ewentualnego pościgu, który mógł uruchomić zbiegły Niemiec, zlikwidowaliśmy

pojmanego. Mimo pośpiechu nie udało się nam dojść przed świtem do Kościejowa. Cały dzień (Wielki Piątek) przesiedzieliśmy w lesie na mokrym topniejącym śniegu. W ciągu dnia zauważyła nas mała dziewczynka; zatrzymaliśmy ją, a potem szukającą ją matkę. Okazało się, że są Polkami i mieszkankami Kościejowa. Wieczorem zostaliśmy przewiezieni furmankami do wsi. Przyjęto nas bardzo gościnnie i serdecznie, a potem rozproszono po kwaterach. Wieczorem kwatery odwiedzał ksiądz. Wielu kolegów wypowiadało się i przyjęło Komunię św. Na kwaterach pozostaliśmy przez cały dzień. Wieczorem 8 kwietnia (Wielka Sobota) zaopatrzeni w żywność wyruszyliśmy w stronę Stanisławki. W rejonie Żółkwi natrafiliśmy na rów melioracyjny. Nie było żadnej innej możliwości sforsowania go — musieliśmy brnąć w lodowatej wodzie sięgającej do pasa. Po nocnym marszu doszliśmy do lasów tuż przed Stanisławką. (Niedziela Wielkanocna 9 kwietnia) Tu urządziliśmy sobie świąteczne śniadanie z prowiantu otrzymanego w Kościejowej. Nad ranem fura drabiniaista zabrała nas do Stanisławki.

Dowódcą tej wsi był ppor. „Popiel” Onufry Kuźniar, który powitał nas po żołniersku (siedząc na koniu). Zastępcą „Popiela” i kwatermistrem był „Żbik” Stanisław Kwiatek. Zaproszono nas do świetlicy na wspólny wielkanocny posiłek.

Oddział „Popiela” składał się wyłącznie z ludności miejscowej i był bardzo słabo uzbrojony w dubeltówki, widły i kosy. Pierwsza akcja przeciwko UPA wykonana wspólnie przez oddziały „Popiela” i „Ordy” (dowodził „Popiel”) miała miejsce 11 lub 12 kwietnia. Była skierowana na ukraińską wieś Kupiczwoła. Wykorzystując zasadzkę, zdobyto 2 lub 3 furmanki załadowane zaopatrzeniem świątecznym dla UPA, sporą ilość koni (około 20) wraz z zapasem paszy. Nadto wzięliśmy kilku (4-5) jeńców Ukraińców z Dywizji SS-Galizien, których po przesłuchaniu rozstrzelano. Strat własnych nie mieliśmy.

W nocy z 14 na 15 kwietnia (Wielki Piątek greckokatolicki) nastąpił napad na Stanisławkę, wykonany przez UPA i umundurowane oddziały Ukraińców SS-Galizien. Napastnicy mieli przewagę w ludziach i sile ognia.

Przez Stanisławkę przepływała rzeka, dzieląc wieś na dwie części. Część wsi położona przed rzeczką (od strony Mostów Wielkich) została w czasie napadu spalona. Część wsi za rzeką została obroniona (około 80 domów i gospodarstw uratowano, około 60 budynków spalono). Straty własne wyniosły: 6 mieszkańców wsi zabitych i 6 rannych.

Po napadzie grupa lwowska przebywała w Stanisławce około 3 do 4 dni. Toczyły się w tym czasie, nieznane nam w swej treści, rozmowy „Popiela” z „Ordą”. Około 19 kwietnia „Orda” wydał rozkaz wymarszu do Kościejowa. Szliśmy lasami równoległe do drogi Mosty Wlk. — Lwów, eskortując furmanki z ewakuowanymi mieszkańcami części Stanisławki, aż do okolic Żółkwi. Po drodze uchwyciono dwu chłopców ukraińskich, którzy zostali zmuszeni do prowadzenia nas we właściwym kierunku. UPA dysponowała telefoniczną łącznością polową i obser-

wowała nasze poczynania. W miejscowości Majdan zostaliśmy zaatakowani przez Ukraińców. W walce zginął nasz kolega Edward Dyl „Hannibal” trafiony w pierś, a drugi z kolegów został ranny w piętę. Zginął w czasie walki nasz dowódca „Orda”, który na chwilę oddalił się od nas i nie powrócił. Poszukiwania prowadzone przez „Budrysa” i „Luśnię” nie dały rezultatu. Do Kościejowa dotarliśmy rano.

Po jednodniowym odpoczynku z braku dowódcy,

map, planu działania i pieniędzy zapadła decyzja powrotu do Lwowa. Ze względu na bezpieczeństwo wracaliśmy różnymi trasami w grupach 2-3 osoby.

Opracował: Aleksander Niementowski „Krzysztof” po konsultacjach z Kolegami: Janem Jędrzejewskim „Jemiołą”, Adamem Lewickim „Adamem”, Janem Radomskim „Żegotą”, Tomaszem Reczuchem „Wilczkiem”, Eugeniuszem Skowronem „Budrysem”.

Jerzy Masiór

Być tam

*Być tam obłokiem,
kroplą deszczu
Wtedy — ta chwila,
jakby — jeszcze.
Wtedy tak jakoś,
tak przypadkiem,
wszystko tak naraz,
lża ukradkiem.*

*Zbyt mało w słowa,
w fotografie.
Chwila bez złudzeń,
czy potrafię?*

*Chcę tam we Lwowie,
tam, na Rynku
usłyszeć echo:
„Maleńki jesteś
— chodźmy synku...”*

Nowy Sącz, 9 VII 1994 r.

Od redakcji (na podstawie otrzymanych dokumentów)

Andrzej Kwiatkowski ur. 17 IX 1928 we Lwowie. Aresztowany 9 lutego 1945 r. we Lwowie za przynależność do AK, do oddziału por. Białego. Po śledztwie w obozie Manołówka koło Woroszyłgradu przewieziony do więzienia w Starobielsku, potem w Dniepropetrowsku gdzie odczytano mu wyrok: 5 lat obozów o zaostrzonym reżymie plus 3 lata zsyłki. Wyrok odbywał w rejonie Workuty. 11 IX 1948 wrócił do Kraju. Mimo dokumentu Ministerstwa Spraw Wewn. nr Ca-2037/91 potwierdzające w.w. podane dane nie otrzymał członkostwa Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej we Wrocławiu.

Motto

Wszystkie narody, wszystkie państwa mają swoje kresy. Nieszczęśliwy i zmienny jest los grodów i siól kresowych... A jednak głębokie jest w tym szczęście i nieszczęście z dumy wielkiego cierpienia.

Józef Piłsudski

Rodzina kresowa

Andrzej Kwiatkowski

Polskie Kresy. Rozległe stepy Podola, poprzecinany jarami, urodzajny Wołyń, i gród, którego lwy w herbie osłaniały wschodnie rubieże Polski. Mieszkańcy Kresów wysysali swe tradycje z mlekiem matki. Zbaraż, Zadwórze, Kamieniec... — tego nie trzeba było uczyć się na lekcjach historii, — to się wiedziało. Z opowieści dziadków, rodziców, podczas spacerów na Wysoki Zamek, Kajzerwald, Zniesienie. A potem historia sama już dawała poglądowe lekcje na Wzgórzach Wóleckich, Łackiego, Pełczyńskiej. Ileż to razy ulica Gródecka słyszała pieśń, śpiewaną przez kolumny więźniów, prowadzonych na dworzec,

otoczonych przez tych w hełmach z orłem dwugłowym, gwiazdą czy swastyką: ...z Cytadeli lwowskiej dzieci...

Patriotyzm był w nas. Dziadek Emil dumny był z tego, że z trzech synów, jak mawiał, jednego oddał Ojczyźnie (Tadeusz poległ w Legionach w 20 roku) drugiego Bogu (Jan, ksiądz z parafii św. Magdaleny, mający w życiorysie i Sybir i Wronki), a trzeciego ludziom (Stefan Łukasz, legionista, obrońca Lwowa, lekarz, docent Kliniki Dermatologicznej, wykładowca medycyny w tajnym nauczaniu w czasie okupacji niemieckiej w Warszawie).

Nie tylko dziadek Emil. Nie tylko dziadek Emil oddał jednego z synów Ojczyźnie. Syn jego brata Stanisława (lekarz, konsul RP w Czerniowcach, senator w parlamencie Rumunii) Tadeusz zginął w Legionach. Drugi brat Dziadka, Romuald, na wojenną mogiłę swego syna Stanisława musiał podróżować aż do dalekiej Italii.

Byliśmy zwykłą, z dziada pradziada lwowską, Łyczakowską rodziną. Krupiarska i Orląt, z widokiem na kaplicę matki Boskiej na Łyczakowskiej była naszym gniazdem rodzinnym. Nieważne, że potem mieszkaliśmy na ul. Fredry, Łyczaków pozostał naszym domem. A może „za karę” za sprzeniewierzenie się Łyczakowowi jedna z pierwszych bomb w 39 roku zburzyła dom przy Fredry...

Po rozlicznych tułaczkach zamieszkaliśmy przy ul. Piekarskiej, w dużym mieszkaniu z wejściem z dwu klatek schodowych. To bardzo ważny szczegół, gdyż warunkował wszystkie spotkania okupacyjne przyjaciół i kolegów, z których każdy na kilometr pachniał konspiracją. U nas także odbywały się tajne komplety z programem gimnazjalnym i licealnym. Oficjalnie byliśmy uczniami „Kursów Przygotowawczych do Szkół Zawodowych Wyższego Stopnia”, gdzie uczyli nauczyciele tej klasy co prof. Stipał, Horwat, Umański, Kawyn — organizatorzy kompletów.

Nie trudno domyśleć się, który z wymienionych synów dziadka Emila był naszym ojcem. Lekarz, zdobywający stopnie naukowe w klinice UJK, do późnego wieczora zajęty „ordynacją”, zawsze miał jednak czas na wspólny obiad i spacer, podczas których nasza trójka, moje siostry i ja spowiadaliśmy się z sukcesów i porażek szkolnych, a ojciec wdrażał nam zamiłowanie do literatury i sztuk pięknych.

Zamożnie żyliśmy — piękne mieszkanie przy ul. Fredry, ukochane Lisze (dworek w olbrzymim parku przy gościńcu tarnopolskim, 20 km od Lwowa). Ale my, dzieci, wychowani byliśmy skromnie, nie znaliśmy premii za stopnie, nie mówiliśmy per „ty” do rodziców, a Ojca i Matkę całowaliśmy w rękę, podobnie jak oni swoich rodziców.

Cały ten bez troski świat runął w 1939 r. Przy stole wigilijnym w 1945 r. zabrakło zmarłego Ojca, Dziadków, zamordowanych w nocy przy ul. Orląt, no i mnie, który odwiecznym szlakiem przez ul. Gródecką zawędrował do Donbasu i Workuty.

Mama, „pani doktorowa” sprzedawała ciastka, pieczone po nocach, na targu na pl. Bernardyńskim. Mieszkanie przy Piekarskiej zagęszczono dwoma rosyjskimi rodzinami. Mimo tych warunków siostry ukończyły studia.

Dużo wspomnień pozostało tam, przy Piekarskiej, i tych dobrych i złych. To od nas z Piekarskiej wyszedł prof. Jałowy, aby po 15 min. leżeć we krwi przy ul. Teatyńskiej, naszpikowany kulami zpod znaku Tryzuba. Tam, w tym mieszkaniu snuło się naiwne marzenia, co będziemy robić po wojnie, wyobrażając sobie, że po wojnie to tak jak przed wojną... Jałta była wtedy dla nas pojęciem wyłącznie geograficznym.

W całym tym dramacie wojennym byliśmy młodzi. Chodziło się na kąpielisko, na „Corso” na Akademickiej i — wstyd się przyznać — czasami do kina. Były wielkie i małe miłości, często nagle i dramatycznie przerywane. Niektórzy, ażeby żyć, handlowali czym się dało. Nie bardzo wierzone „dorosłym”, którzy widzieli czarno rysującą się przyszłość Narodu. Mało kto wierzył, że wypróbowani zachodni przyjaciele podpiszą taki haniebny, szczególnie dla nas kresowiaków, wyrok.

Nieraz między poduszkami kanapy odnajdywałem uwierające mnie w nocy paczki z biuletynami, kolby parabelki... Potem i ja sam wciskałem tam Wisy

i „dziewiątki”. Jako ten „młodszy brat” nie bardzo orientowałem się „kto jest kto” z przychodzących na prywatki do mojej siostry. Dopiero w lipcu 1944 r. pełniąc służbę wartowniczą w Komendzie AK przy ul. Kochanowskiego musiałem przeżyć się na baczność przed niedawnymi gośćmi towarzyszkich spotkań w naszym domu.

Niedługo trwał okres świetności, biało-czerwonych opasek, komend. Znowu zaczęła się konspiracja. Tylko taka inna, bez nadziei...no bo wojna już się przecież skończyła... Znowu przy Piekarskiej spotykali się młodzi ludzie, jedni, ażeby pożegnać się przed wędrówką na Zachód, inni, żeby wspólnie naradzić się co dalej. Wydorosleli wszyscy w krótkim czasie, dojrżeli, świadomi klęski, jaką ponieśli z całym Narodem, nie mogący pogodzić się z myślą, że trzeba będzie opuścić gród nad Pełtwią... Niektórych z nich spotkałem w obozach Donbasu, w celach więziennych Dniepropetrowska na „peresylkach” na Dalekiej Północy.

Ale siła Kresowiaków, tych ze Lwowa, Tarnopola, Stryja tkwi w ich zdolności odradzania się. Rozrzućni po Bytomiu, Gliwicach, Wrocławiu od razu nadali tym miastom swoisty, niepowtarzalny, lwowski ton. Znowu stanęli przy katedrach sal wykładowych, przy łózkach chorych, przy sztalugach malarskich. Tramwajarz Rusin sprzedawał bilety, tyle że w „zerówce” a nie w „trójce”, Maniusz z koszem precli zaczął krążyć między trybunami IJS jak dawniej na stadionie „Czarnych”, a przekupki z placu Bernardyńskiego zawładnęły targowiskiem na placu Grunwaldzkim, Wrocławia.

I w mojej rodzinie odnaleźli się pozostali przy życiu i włączyli w nowe życie, naukę i pracę. Co roku trzeba było dostawiać nowe krzesła do stołu wigilijnego. Wrocław, Podkowa Leśna, Szczecinek — stały się nowymi domami Kresowian. I chociaż portret prababki wisi w mieszkaniu siostrzenicy w Toronto, ona sama, gdy tylko może, zasiada do Wigilii w Polsce. A że na cmentarzach przybywa nowych grobów z napisem „urodzony we Lwowie”, — to trudno, taki jest porządek rzeczy. Ale częśćka tych, którzy odeszli, pozostała z nami na zdjęciach, w opowieściach, obrazach i „przepisach kuchennych”. Żyje nadal, także w tych pokoleniach, które nigdy we Lwowie nie były, ale dla których to miasto nigdy nie było i nie jest pustym dźwiękiem.

Jerzy Masior

Wiem — stamtąd wszystko

*Gdy o Ojczyźnie mojej słowa,
to Leśna, Wały i Kurkowa*

*Do mego Miasta gdy tęsknota —
na Antoniego, powiedz, co tam?*

*Wiem: Teatyńska, Zamek, Kopiec...
Od tych widoków trudno uciec.*

*Wiem: stamtąd wszystko... i cóż z tego,
że noc żołdatów, że Łąckiego.*

*Cóż z tej miłości, która boli,
choć ból jest stamtąd, z tej niewoli.*

*Gdy ponad Miastem gwiazda nocy,
to blask wygasa, to z przemocy.*

*Gdy nad Ojczyzną mrok zapada,
jestem wciąż z Leśnej, z Listopada.*

Nowy Sącz, 18 VII 1994 r.

Dziennikarze i politycy lwowscy lat trzydziestych XX w. (wspomnienia)

Studiowałem na UJK w latach 1931-1937 i w tym okresie interesowałem się żywo polityką, w którą byłem też czynnie zaangażowany. Moje gawędy na ten temat wzbudzały zawsze duże zaniepokojenie u starych lwowian. Postanowiłem je więc utrwalić na piśmie. Nie znalazłem literatury, z którą mógłbym je skonfrontować, ale nie będąc historykiem nie wykluczam, że fachowiec mógłby do niej dotrzeć. Pamięć jest zawodna. Wspomnienia moje nie będą wolne od błędów i luk. Niech więc posłużą znawcom jako materiał. Jeśli nakłonią innych świadków opisanych tu wydarzeń do chwycenia za pióro, do poprawiania błędów i do uzupełnienia luk, będę uważał, że już spełniły swe zadania.

Najwięcej czytelników, i to ze wszystkich warstw społecznych, miał dziennik „Wiek Nowy”, którego naczelnym redaktorem był w owym czasie Bronisław Laskownicki, starszy godny pan z długą białą brodą, politycznie zbliżony do liberalnego skrzydła sanacji, tzn. np. pilsudczyków z grupy Mariana Kościalkowskiego. Wśród stałych współpracowników przeważali dziennikarze podzieleni jego poglądami. Zamieszczał on także wypowiedzi senatorów bardziej prawicowych, np. Kazimierza Bartla albo Aleksandra Domaszewicza, ale dopuszczał też do głosu polityków, z którymi się na pewno nie zgadzał, np. narodowców, a nawet komunistów, np. Mariana Naszkowskiego. Formatem „Wiek Nowy” przypominał „Gazetę Wyborczą”. Poziom miał bardzo nierówny. Obok poważnych artykułów wstępnych, korespondencji zagranicznych, recenzji teatralnych i koncertowych, np. Czesława Krzyżanowskiego, przynosił bardzo dużo informacji o sprawach kryminalnych, nie tylko sprawozdań sądowych, ale i mniej lub bardziej wiarygodnych sensacji z całego świata. Uzasadniało to w pełni reklamowe krzyki ulicznych gazeciarzy, którzy wybiegając w południe z drukarni przy ul. Sokoła z plikiem gazet pod pachą wołali: „Wiek, Wiek, Wiek Nowy, trzech urzędników, dwóch bez głowy”. W ostatnich latach przedwojennych syn wydawcy „Wieku”, Janusz Laskownicki, założył rewolwerowy „Ekspres Wieczorny”, w którym polityki było już bardzo mało, a obok kryminalnych sensacji – jedynie informacje lokalne.

Nieco mniej czytelników od „Wieku” miała „Gazeta Poranna”, cztero- lub sześciostronicowe piśmiśko niskiego lotu, bogate w wiadomości ze Lwowa i kresów pd.-wsch., w którym nieraz pisywał poważny publicysta Włodzimierz Jampolski, a stale zamieszczał swe wiersze, złożone z reguły z 4 strof, typowy lwowski poeta Henryk Zbierzchowski, mający tam zawsze swoją rubrykę. „co mówi Nemo”. Był to znany bywalec knajpy Atlasa, który walczył przy czynił się do jej romantycznie lwowskiego nimb.

Na wysokim poziomie dziennikarskim stał organ Stronnictwa Narodowego (Narodowej Demokracji) „Słowo Polskie”, redagowany przez Stanisława Stro-

ńskiego i Wacława Mejbauma. Reprezentował ten odłam narodowców, który opozycyjną walkę z sanacją próbował rozegrać na gruncie tych mizernych resztek swobód demokratycznych, które w tym czasie pozostawiła jeszcze sanacja. Do tej grupy należeli też w tym czasie profesorowie ekonomii UJK Stanisław Grabski i Stanisław Głabiński. Młodzi narodowcy natomiast, przede wszystkim studenci szkół wyższych, zorganizowani w „Młodzieży Wszechpolskiej”, który we Lwowie przewodzili Macieliński i Matlachowski, zwolennicy akcji bezpośredniej, żyli się w awanturach na wyższych uczelniach, powtarzających się stale na początku roku akademickiego, połączonych nieraz z ciężkim pobiciem studentów żydowskich i ich demokratycznych obrońców, o czym w swej książce *Emisariusz Jur* wspomina lwowski cichociemny Jerzy Sołtysik „Lerski”. Pobito też docenta UJ Stefana Szczotkę, ludowca, kiedy na UJK miał wygłosić gościnny wykład. Te awantury czasem przenosiły się na ulicę, co oznaczało bicie przechodniów żydowskich i wybijanie szyb w żydowskich sklepach lub pikietowanie ich, by nie dopuścić nieżydowskiej klienteli. Niejako twierdzami tych studentów były domy akademickie; dla UJK tzw. „Łoziniec” przy ul. Łozińskiego, dla Politechniki I i II Dom Techników oraz Bursa im. Abrahamowiczów, w której sąsiedztwie o świcie 4 lipca 1941 r. Sonderkommando SS „Nachtigall” rozstrzelało 28 profesorów, docentów i ich rodziny, a także przypadkowych gości, co było jednym z najhaniebniejszych w dziejach świata aktem likwidacji inteligencji podbitego narodu.

Wróćmy od tych ponurych spraw, które trzeba wciąż światu przypominać, do naszego głównego tematu. Dziennik „Chwila” był doskonale w języku polskim redagowanym organem syjonistów lwowskich. Wydawał go krewny Mariana Hemara, Henryk Hescheles, zamordowany przez Gestapo prawdopodobnie w więzieniu przy ul. Łackiego w pierwszych dniach hitlerowskiej okupacji. Dziennikiem wydawanym w języku żydowskim był „Der Tug”.

W języku ukraińskim ukazywał się poważny organ Ukraińskiej Partii Narodowo-Demokratycznej (UNDO) pod nazwą „Diło”. Redaktorami byli posłowie na Sejm RP Wasyl Mudryj i Wołodymyr Celewycz. Formalnie stali na gruncie państwowości polskiej, co zadeklarowali nawet jeszcze w dniu 2 września 1939 r. z trybuny sejmowej, a więc w drugim dniu inwazji hitlerowskiej. Niemniej stale domagali się daleko idącej autonomii dla Ukraińców ziem południowo-wschodnich, nie tylko kulturalnej, włącznie z uniwersytetem ukraińskim we Lwowie, lecz także społeczno-gospodarczej i politycznej, a więc swobód dla świetnie zresztą zorganizowanej spółdzielczości gospodarczej (potężne spółdzielnie mleczarskie, drobiarskie, „Masłosojuz”, „Centrysojuz” i in.), ale i stanowisk starostów i burmistrzów.

rzów większych miast, oddzielnego parlamentu dla tych ziem itd. Zasadnicza aprobatą dla przynależności tych ziem do Polski uwarunkowana była prawdopodobnie tylko tym, że jedyną alternatywą w ówczesnej sytuacji politycznej mogła być inkorporacja do ZSRR, w postaci tzw. Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Ludowej, a więc w praktyce bezwzględna wasalizacja pod władzę moskiewskich bolszewików, z niechybną deportacją i śmiercią w NKWD-owskich łagrach wszystkich działaczy ukraińskich, a zwłaszcza UNDO-wców.

Przejdźmy od dzienników do tygodników. Przez niemal cały ten okres od 1933 r. wychodziły znane „Sygnały”, dwumiesięcznik pod redakcją Karola Kuryluka, powojennego ambasadora RP w Wiedniu, a później ministra Kultury i Sztuki. Tygodnik nieraz był na dłuższe okresy zamykany przez policję, ale wciąż uparcie przez Kuryluka wznawiany. Miał świetne pióra: Maria Dąbrowska, Zofia Nałkowska, Halina Górska, Wincenty Banaś, Jerzy Bossak, Tadeusz Rogowski, Leon Gecow, Ksawery Pruszyński, Maciej Freudman, Aleksander Baumgarten, Tadeusz Hollender i in. „Sygnały” były pismem lewicowym, nieraz wprost inspirowanym przez Komunistyczną Partię Zachodniej Ukrainy (KPZU), przeciw której wprawdzie nigdy nie występowały, ale nieraz demonstrowały pewną wobec niej niezależność ideową.

Tygodnikiem socjalistycznym była „Trybuna Robotnicza” pod redakcją Jana Szczyrka, który po wojnie po powrocie z Londynu osiadł w Chorzowie, gdzie wkrótce zmarł. Tylko na początku omawianego okresu (tj. lat 1930-1939) PPS wydawała dziennik pod redakcją Dęgiewicza (zdaje się pod nazwą „Dziennik Ludowy”), ale z powodu trudności finansowych wkrótce przestał wychodzić.

Syjonisci wydawali w języku polskim tygodnik „Opinia”, komuniści z KPZU — nielegalny najczęściej tygodnik „Wikna” pod red. Jarosława Gałana, a bojowcy z OUN (Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów) — podziemny tygodnik „Surma”. Organem Stronnictwa Ludowego był tygodnik „Zielony Sztandar”.

Jakiś czas organem młodych narodowców był „Kurier Polski”, wydawany przez Klaudiusza Hrabę i Bronisława Zduńczyka, zbliżony raczej do Obozu Narodowo-Radykalnego (ONR) niż do Stronnictwa Narodowego. Mimo bliskiego już faszyzmowi radykalizmu grupa ta, a w szczególności Hrabę, zbliżyła się wkrótce do sanacji, korzystając z ciągów marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego w kierunku ONR, aby potem w Londynie przesunąć się z kolei na pozycje bardziej liberalne (wraz z Włodzimierzem Stahlem). Po wojnie, po powrocie do kraju, Hrabę dokonał jeszcze jednej, najbardziej zdumiewającej wolty, deklarując w marcu 1968 r. w ulotce skierowanej do buntującej się przeciw Gomułce młodzieży akademickiej nastawienie skrajnie antyinteligentkie, prosowieckie, antymłodzieżowe i antysemityczne, identyfikując się całkowicie z poglądami Gomułki z okresu zwalczania tzw. V kolumny.

W końcu przypomnimy polityków tego okresu nie związanych z prasą. Do sanacji należeli: wielo-

krotny premier, prof. Politechniki, Kazimierz Bartel, neurochirurg, prof. UJK, senator Aleksander Domaśzewicz, prezes Związku Oficerów Rezerwy, prof. laryngologii — senator Teofil Zalewski, prezydent m. Lwowa, podczas wojny premier Rządu Londyńskiego — profesor wenerologii UJK, Stanisław Ostrowski. Wśród narodowców wybijali się Stanisław Stroński, wymienieni już profesorowie ekonomii UJK Stanisław Grabski i Stanisław Głębiński oraz prof. Edmund Bulanda późniejszy delagat Rządu Londyńskiego na Lwów, a także wspomniani przywódcy Młodzieży Wszechpolskiej, Adam Marian Macieliński i Jan Matlachowski. czołowymi politykami z PPS byli Artur Hausner, Bronisław Skalak, Władysław Haduch, Wincenty i Jadwiga Markowscy, Tadeusz Drobut, powojenny v-prezydent Wrocławia, oraz przywódcy tzw. klasowych związków zawodowych, przede wszystkim kolejarzy, tramwajarzy i telefonistów. Gorzej uposażeni, a także nieraz tylko sezonowo zatrudniani robotnicy, np. budowlani, często dostawali się pod wpływ komunistów. Niewielkie tylko grupy robotników należały do sanacyjnych związków zawodowych, tzw. 222, których przywódcą we Lwowie był psychiatra Mieniewski, oraz do związków chrześcijańskich. Podczas strajków związanych z wielkim kryzysem gospodarczym (1929-1933) zwykle przyłączali się do związków klasowych.

W porównaniu z endecją, sanacją i PPS-em wpływy Chrześcijańskiej Demokracji we Lwowie były niewielkie. Ich młodzież studencka skupiała się w organizacji „Odrodzenie” przy ul. Piekarskiej, gdzie nieraz wygłaszano interesujące odczyty; opiekunem jej był znany pediatra prof. Franciszek Gröer. Wybitnego przedstawiciela miała chadecja w Radzie Miejskiej w osobie profesora Politechniki Maksymiliana Thulliego, znanego budowniczego mostów, który prowadził zacięłą walkę z wpływami lewicy w dziedzinie kultury. Było to zadanie niewdzięczne w okresie dykcji Leona Schillera w teatrze lwowskim, gdyż przedstawienia jego zyskały sławę w całym kraju. Miał wtedy teatr poważny repertuar klasyczny *Dziady*, *Kordian*, nie tylko polski, *Dorota Angerman*, *Nora*, *Krzyszcie Chiny*, świetnych reżyserów i aktorów Krasnowiecki, Dąbrowski, Eichlerówna). Co prawda zarzuty sympatii lewicowych, stawiane im przez Thulliego, nie były pozbawione podstaw. Ale zwalczając też zbyt kuse stroje aktorów, zbyt swawolne jego zdaniem dowcipy i piosenki, naraził się Thullie nieraz na śmieszność. Ze swoją białą brodą i pryncypialnością należał do charakterystycznych postaci ówczesnego Lwowa. Obiektywem jego ataków stał się też w 1936 r. tzw. Kongres Pracowników Kultury. Impreza ta wprawdzie inspirowana była przez komunistów, uczestniczyło w niej wielu poetów, pisarzy i publicystów, nie tylko z kręgu sympatyków komunizmu, przyczyniła się więc do ożywienia życia kulturalnego Lwowa.

Ludowców z „Piasta” było również we Lwowie niewielu, w Sejmie zasiadł Jan Bryl, w senacie Wierzbiański. Wśród młodzieży, zwłaszcza studenckiej, przeważali zwolennicy Stronnictwa Narodowego, zorganizowani w Młodzieży Wszechpolskiej i w kor-

poracjach akademickich, kontynuujących tradycje znane w Niemczech i Austrii. Barwne czapeczki, szarfy, pochody ze sztandarami, wspólne uczty, bale w „Kasynie Literackim” były znamienne dla ich obyczajowości. Odgrywali też poważną rolę w akademickim życiu społecznym, gdyż zarządzali niemal na wszystkich wydziałach Bratnią Pomocą. Jedyne na polonistyce w tamtych latach na krótko przewagę zyskali demokraci, socjaliści i lewica sanacyjna, tj. Legion Młodych i Związek Polskiej Młodzieży Społeczno-Demokratycznej (Jerzy Sołtyś-Lerski) przy poparciu syndykalistów Michała Langa i ludowców z organizacji „Wici” (Lutyk i Franciszek Wilk).

Socjaliści, tj. Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej (ZNMS, ten sam, którym w Krakowie dowodził Cyrankiewicz) na czele z Longinem Chmielewskim, wkrótce wchłonęli dawnych komunistów z nielegalnego „Życia”. Lewica miała też pewne wpływy na Politechnice, gdzie poparła ją grupa prof. Bartla. Ale poza tym wszystkie wyższe uczelnie lwowskie, a więc Uniwersytet, Politechnika, Akademia Weterynarii, Wyższa Szkoła Handlu Zagranicznego (ta wprawdzie w najmniejszym stopniu), stanowiły bastion endecji, do czego w dużej mierze przyczyniła się postawa profesorów.

W szkołach średnich istniał wprawdzie zakaz organizacji politycznych, ale rzekomo apolityczna „Straż Przednia” była jednak sanacyjna. O wpływy w Związku Harcerstwa Polskiego długo walczyła endecja z sanacją, mimo że i ta organizacja miała być apolityczna. PPS miała swój robotniczy klub sportowy — RKS — kierowany przez Henryka Kuronia, ojca Jacka. Socjalistyczna organizacja samokształceniowa TUR (Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych) odegrała ogromną rolę w szerzeniu rzetelnej oświaty na terenie klasowych związków zawodowych. Organizacją kolonii wakacyjnych zajmowało się Robotnicze Tow. Przyjaciół Dzieci (RTPD). Specjalną opieką nad młodzieżą wykojejoną roztoczyła pisarka Halina Górska (organizacja „Błękitnych”), zbierając fundusze poprzez akcję radiową („Radio Dzieciom”). Nieoczekiwanie — podobnie jak Wanda Wasilewska — zgodziła się później na współpracę z władzą radziecką.

Spośród polityków ukraińskich na czoło wysunęli

się wspomniani już członkowie UNDO Celewycz i Mudryj, w senacie zasiadał Bryk. Poważną rolę odgrywał dawny poseł do parlamentu austriackiego Kość Lewicki, w 1940 r. deportowany przez sowieckie władze na wschód, który po zwolnieniu i powrocie w 1941 lub 1942 r. stanął na czele prohitlerowskiego rządu ukraińskiego, wkrótce zresztą przez Niemców rozwiązanego. Wśród Ukraińców większość głosowała na umiarkowaną partię nacjonalistyczną UNDO, znacznie mniej zwolenników mieli socjaliści, komuniści i skrajni nacjonaści (OUN), ci zresztą najczęściej bojkotowali wybory. Spośród polityków żydowskich posłami byli syjonista Emil Sommerstein oraz rabin Ozjasz Abraham Thon, a senatorem syjonista Michał Ringel. Reprezentantami finansjery żydowskiej politycznie związanej z sanacją byli wiceprezydent miasta, bankier Wiktor Chajes, oraz przemysłowiec Brandstaedter. Wśród Żydów przeważali syjoniści, którzy przy wyborach zdobywali niemal połowę głosów. Wśród pozostałych Żydów mniej więcej jednakową liczbę zwolenników mieli ortodoksi, socjaliści-bundowcy, asymilanci, uważający się za Polaków, i komuniści. Zaznaczyć należy, że ukraińskiego języka Żydzi nigdy nie używali, a hebrajskim też nikt z nich się nie posługiwał. Mniej więcej połowa posługiwała się na codzień polszczyzną, niektórzy co prawda mniej lub bardziej skażoną, pozostali rozmawiali po żydowsku.

Specyficzna ordynacja wyborcza i nierzadkie nadużycia spowodowały, że wybory parlamentarne nie dawały prawidłowego obrazu rozwarstwienia politycznego ludności Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Nie ulega jednak wątpliwości, że ludność tych terenów odznaczała się wyjątkową aktywnością i talentami politycznymi, czego dowody dawała nie tylko u siebie, ale i w stolicy kraju, a także później na emigracji, w Angers, w Londynie i wszędzie, gdziekolwiek toczyły się ważne dla Polski sprawy, m.in. na Bliskim Wschodzie, w Armii Władysława Andersa, a nawet w Moskwie, w tzw. Związku Patriotów Polskich i w Armii Zygmunta Berlinga. Aktywność tę okazali też w życiu politycznym i kulturalnym PRL, szczególnie na terenie województw południowo-zachodnich, a zwłaszcza Wrocławia.

KOMUNIKAT

Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu — Instytut Pamięci Narodowej w Rzeszowie prowadzi śledztwa w sprawach zbrodni nacjonalistów ukraińskich w latach 1939-1945 popełnionych na obywatelach polskich, mieszkańcach b. woj. lwowskiego. Komisja jest zainteresowana wszystkimi faktami zbrodni na tym terenie (zabójstwa żołnierzy WP, pierwsze napady na wsi polskie we wrześniu 1939 roku, fakty współpracy Ukraińców z okupantami sowieckimi i hit-

lerowskimi na szkodę obywateli polskich, masowe mordy na mieszkańcach wsi kresowych, a także całokształtem stosunków polsko-ukraińskich w latach okupacji niem., fakty udzielania pomocy Polakom przez Ukraińców, polska samoobrona, akcje odwetowe na ludności ukraińskiej).

Osoby posiadające informacje w tych sprawach, a zwłaszcza świadków zbrodni, uprzejmie prosimy o kontakt z Okręgową Komisją Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu — IPN w Rzeszowie ul. Piłsudskiego 23, tel. 362-52, lub redakcję Semper Fidelis.

Teatr polski w budynku skarbkowskim (1842-1899)

Do roku 1842 sytuacja teatru polskiego we Lwowie była dość trudna i niezręczna. Z jednej bowiem strony miał on już na swym koncie znaczny dorobek artystyczny (wystarczy przypomnieć antrepryzę Wojciecha Bogusławskiego czy ponad 20-letni okres działalności Jana Nepomucena Kamińskiego), wypracował sobie przy tym ważną pozycję instytucji, broniącej skutecznie przed zalewem germanizacji. Co było po drugiej stronie? Problemy najistotniejsze, bo dotyczące zasad działalności i istnienia polskiego teatru. We Lwowie preferowana była scena niemiecka, co w warunkach absolutyzmu było oczywiste. Natomiast polski zespół traktowany był przez władze austriackie nie tyle może niechętnie, co raczej marginalnie. A zatem: władza z nim wprawdzie nie walczyła, ale też w żaden sposób go nie popierała.

Austriacy wspomagali scenę niemiecką – to jasne. Zespół polski nie był objęty obowiązującym wówczas przywilejem teatralnym, co oznaczało, że jego istnienie nie było prawnie zagwarantowane. Gdyby więc władze znalazły podstawę i chęć, mogłyby go łatwo zlikwidować. Znalazł się jednak ktoś, kto zechciał – i był w stanie – tej sytuacji zaradzić. I tej osobie Lwów i narodowa scena winni są bardzo wiele. Był to Stanisław hrabia Skarbek.

Postać to niezwykła i kontrowersyjna. Wiadomo, że swego czasu, w przypiływie fantazji (a może źle ukierunkowanej ambicji?) przehazardował znaczny majątek. A więc utracił? Lekkość? Chyba jednak nie, bo w krótkim czasie zdołał swój kapitał nie tylko odzyskać, ale i pomnożyć, korzystając z koniunktury. Kupował zbywane tanio przez austriacki rząd dobra ziemskie i bardzo umiejętnie nimi administrował, osobiście wszystkiego pilnując. Powstał wkrótce nowy wizerunek hrabiego Skarbka: przesadnie oszczędnego, o mentalności nowobogackiego kapitalisty (żeby nie powiedzieć: bankiera), pomimo arystokratycznego tytułu. Ale i ten portret nie był pełny. Prywatnie nie był hrabia człowiekiem szczęśliwym. W dość późnym wieku – był już „po czterdzieści” – ożenił się z młodszą, kilkunastoletnią panią, Zofią z Jabłonowskich. Dzieci z tego małżeństwa nie było, a panią stała się wkrótce obiektem westchnień pewnego rudego oficera, też hrabiego, tyle, że młodego i z fantazją. Był nim Aleksander Fredro. Zosia też się zakochała i cała małżeńska awantura Stanisława Skarbka zakończyła się po kilku latach rozwodem. Zofia Jabłonowska poślubiła Fredrę i stworzyła z nim szczęśliwą rodzinę, przynajmniej polskiej scenie autorów (ich syn, Jan Aleksander, był również komediopisarzem). A hrabia Skarbek pozostał sam. Bez żony i bez potomka, majątny, zgorzkniały – a nie miał ponoć łatwego usposobienia – wydawałoby się, że przegrał życie. A jednak – mimo niepowodzeń w planie prywatnym – zdołał dokonać wielkiego i dobrego dzieła.

W 1783 roku Stany Galicyjskie, myśląc o urzędze-

niu we Lwowie polskiego teatru, wystarały się u cesarza Józefa II o plac Castrum z przeznaczeniem pod budowę gmachu teatralnego. Piętnaście lat później gmina wykupiła przywilej na teatr niemiecki od Franciszka Bulli, który był wówczas na progu bankructwa. Ale miało upłynąć jeszcze pół wieku, aby znalazł się ktoś, kto zrobiłby z tego właściwy użytek. Czekano to na hrabiego Skarbka. Powziął on myśl pożytecznego wykorzystania swojego majątku i zapewnienia sobie wdzięcznej pamięci potomnych. Skarbek był twórcą ogromnego przedsięwzięcia: założył fundację dobroczynną, nazwaną potem jego imieniem, która doprowadzić miała do wzniesienia Instytutu Sierot i Ubogich w Drohowyżu. Na cele fundacyjne przekazał cały swój majątek.

Rodzi się w tym miejscu pytanie: co wspólnego ma z tym wszystkim teatr? Otóż bardzo wiele.

Po kilku latach starań i wymianie urzędowej korespondencji z gminą miasta Lwowa i kancelarią nadworną w Wiedniu stał się Skarbek właścicielem przywileju teatralnego, który został ratyfikowany w 1838 roku, wszedł w życie w roku 1842, a zachować miał ważność przez następne 50 lat. Przywilej dotyczył, naturalnie, teatru niemieckiego, ale w 1841 roku hrabia dołączył do niego oficjalną deklarację, w której zobowiązał się dawać również przedstawienia polskie (na mocy samego przywileju miał do tego jedynie prawo, zaś jego obowiązki dotyczyły tylko teatru niemieckiego).

Takie rozwiązanie było, oczywiście, połowiczne i z polskiej perspektywy mało zadowalające, ale w tamtym czasie stanowiło, mimo wszystko, wielki postęp i było jedynym możliwym.

Na razie więc było tak: w zamian za przywilej prowadzenia teatru Skarbek podjął się wystawić miastu gmach teatralny. W tym miejscu należy powrócić na moment do sprawy fundacji drohowyżskiej, by wyjaśnić, w jaki sposób hrabia powiązał obydwie instytucje. 1 sierpnia 1843 roku wydał akt fundacyjny. Czytamy w nim m.in., że wszystkie swoje dobra, w tym również gmach teatralny, a raczej dochody z nich płynące, przeznacza na utrzymanie planowanego Instytutu. I tak teatr wpisany został w Skarbkowską fundację dobroczynną.

Pomysł był więc dobry; zatroszczył się przy tym hrabia o to, żeby polscy aktorzy zapewniony mieli na przyszłość byt, przyczyniając się do założenia dla nich funduszu emerytalnego. Obwarowany on był statutami, które – aż do połowy lat 80-tych – ulegały wielokrotnym poprawkom i udoskonaleniom, ale początek miał właśnie wtedy (cesarz zatwierdził statuty w 1854 roku). Ówczesne parlamentarne przedstawicielstwo Galicji, czyli tzw. Stany Galicyjskie, przeznaczyło dla polskiej sceny niewielką subwencję – 4000 reńskich rocznie. Przez pierwsze 10 lat działalności nowego teatru pieniądze te miały być gromadzone, tworząc tym sposobem fundusz żelazny

dla przyszłych emerytów. Pieniądze ulokowano później w listach zastawnych i papierach wartościowych.

Wszystko było zatem przeprowadzone planowo. Wydawało się, że raz puszczony w ruch mechanizm powinien pracować bez zakłóceń przez całe półwiecze, tak, jak zamierzano. Nie udało się, niestety, przewidzieć wszystkiego.

Otwarcie nowego teatru nastąpiło na Wielkanoc 1842 roku. Było podwójne: osobno niemieckie (27 III dano „Życie snem” Calderona w przeróbce francuskiej) i osobno polskie (28 III wystawiono „Śluby panieńskie”). Czworoboczny gmach z wewnętrznym dziedzińcem, mający cztery kondygnacje, powstał w krótkim czasie, a budową kierował sam Skarbek, spędzając na placu całe dnie i osobiście podobno wydzielając materiały. Ponieważ budynek miał służyć celom nie tylko teatralnym (posiadał aż 102 pomieszczenia!), na I piętrze zorganizowano, na przykład, sale reutowe. Wielkie, huczne bale odbywały się jednak również w sali teatralnej. Była bardzo obszerna, na 1460 miejsc, a na pierwszych widzach zrobiła olśniewające wrażenie. Oświetlano ją olejem — u sufitu wisiał piękny „pająk” wiedeńskiego wyrobu. Światło olejowe było ładne, dawało ciepły koloryt, ale nie było bezpieczne, z czasem zastąpiono je więc gazowym. Nie bardzo natomiast spodobała się mało wartościowa artystycznie kurtyna, wyobrażająca Apollina w towarzystwie Talii i Melpomeny. Od samego początku niezbyt szczęśliwie okazało się rozwiązanie systemu ogrzewania i wentylacji, tak, że widzowie narzekali albo na upał, albo na dotkliwe przeciągi. Maszynieria teatralna wkrótce również zaczęła zawodzić, a z biegiem lat całkowicie niemal wyeliminowano ją z użytku.

Przyjrzyjmy się warunkom, na jakich współistniały obydwie zespoły: polski i niemiecki.

Najważniejsze było to, że Austriacy dysponowali — przynajmniej teoretycznie — bogatszą ofertą artystyczną, bo mieli zarówno zespół dramatyczny (ten nie stanowił dla polskiego mocnej konkurencji), jak operowy i operetkowy, którego my nie mieliśmy jeszcze długo. Tym samym Austriacy zajmować musieli 2/3 wieczorów spektaklowych. Był materialny sceny austriackiej gwarantowały zobowiązania, jakie podejmował wobec niej Skarbek, jako właściciel przywileju. A zatem w tygodniu co najmniej cztery dni miały być zajęte przez przedstawienia niemieckie. A pamiętajmy, że fakt utrzymywania opery wiązał się z koniecznością utrzymania dla jej potrzeb orkiestry i chórów. Zespół niemiecki nie żywił się wyłącznie dochodami ze sprzedaży biletów i subwencją rządową. Miał również prawo do zysków, jakie przynosił ogromny gmach skarbkowski. Pobierał przy tym to 15% od wszystkich widowisk obcych, urządzanych w sali teatralnej. Miał też wyłączność na organizowanie redut, które podczas karnawału przynosić mogły niezły dochód. Fundacja drohowyska wspierała przy tym Austriaków, początkowo 10 tysiącami reńskich rocznie, które urosły z czasem do 17 tysięcy. Okazało się miało już wkrótce, że niemiecka impreza pożera nie tylko to, co jej prawnie przysługuje, ale i to, do czego żadnego prawa nie posiada.

Tymczasem warunki, na jakich działała scena pol-

ska, były nieporównanie skromniejsze. Z subwencji Stanów Galicyjskich przez pierwsze 10 lat w ogóle nie korzystano, ponieważ — zgodnie z umową — były one w całości odkładane na fundusz emerytalny. Pozostawał więc na bieżąco zysk ze sprzedaży biletów na przedstawienia (3 razy tygodniowo, bo jeśli zajmowano jakiś wieczór ponad tę normę, trzeba było płacić Niemcom do 15%). Z funduszy Zakładu Drohowyskiego miał polski teatr dostawać po 500 reńskich rocznie, ale nie mamy pewności, czy je regularnie otrzymywał. Przysługiwał mu też dochód z jednego, wyznaczonego na ten cel przez Skarbka, folwarku, ale pieniądze (zresztą niewielkie) zaczęto wypłacać dopiero od 1868 roku, kiedy się o nie głośno upomniano.

Nie były to więc warunki łatwe, wówczas jednak lepszych stworzyć się nie dało. Sytuacja taka nie mogła trwać wiecznie i było jasne, że w momencie jakichkolwiek korzystnych zmian politycznych Polacy zaczęli dopominać się o przyznanie im takiej pozycji, jaka im we własnym kraju powinna przysługiwać.

W zespole — czy, jak wówczas mawiano, „personelu” nowego teatru — pod kierunkiem Stanisława Skarbka było wielu wybitnych i znakomitych artystów.

Jan Nepomucen Kamiński żegnał stary pofranciszkański teatr i swoich artystów słowami, które powtórzył za Karolem Estreicherem („Teatra w Polsce”, t. III):

„(...) Żegnam was! Lecz nim złożę klucze od tej świątyni, jeszcze mi jeden pozostaje obowiązek: Oto są ci, którzy mnie w trudnym zawodzie od młodych lat swoich gorliwie wspierali; z ich to dzielną pomocą przywiódłem przed oczy wasze więcej 3000 widowisk z niemalym obok zabawy dla kraju pożytkiem, są jeszcze w porze sił, pełni chęci na usługi wasze. Oby czystą, rzetelną miłością pracowali około ojczyzno- muz ołtarza!”

Słowa te miały skierować uwagę opinii publicznej na zespół dawnego teatru i na jego niepewną — wobec zmiany warunków — przyszłość. Na temat Skarbka krążyły bowiem rozmaite plotki. Przede wszystkim ta, że był nieprzyzwoicie skąpy i — nawet przyjmując dawnych aktorów — proponuje im niekorzystne płace. Skarbek miał już wówczas co najmniej dwa „duże”, a wtedy w każdym razie świetnie się zapowiadające, nazwiska: Anielę Aszpergerową i Bogumiła Dawisona. Co lepsi członkowie dawnego zespołu, uprzedzeni do nowego antreprenera, negocjując warunki przejścia pod nową dyrekcję, łatwo popadali z nim w konflikty. Tak było na przykład z pierwszym amantem i bohaterem od Kamińskiego, Antonim Bensą, który, zanedbując ceniąc, pokłócił się ze Skarbkiem tak, że ten odmówił przyjęcia go do swego zespołu. Pozostali aktorzy postawili Skarbkowi ultimatum: albo zaangażuje wszystkich, albo nikogo. Kiedy jednak dyrektor przyjął Jana Nepomucena Kamińskiego z żoną, zapewniwszy dożywotnie utrzymanie, solidarność ta została po trosze osłabiona. Antreprener prowadził negocjacje z każdym z aktorów z osobna, w końcu zaangażował ich i tak, a warunki okazały się dla nich

nierównie korzystniejsze od dotychczasowych. „Trzon kompanii” tworzyli: Bogumił Dawison, Jan N. Nowakowski, Klara i Leon Rudkiewiczowie, Witalis Smochowski, Szczeńny i Aniela Starzewscy, Aniela Aszperger. Z czasem, pod silnym naciskiem opinii publicznej, Skarbek zaangażował również Bense.

Przedsiębiorcy zależało przede wszystkim na wprowadzeniu pewnej dyscypliny w pracy teatru, która do tej pory wcale nie krępowała artystów. Na wstępie wydał więc Skarbek niewielką, acz treściwą broszurkę, która precyzowała dokładnie wymagania, jakie stawiał członkom „personelu”. Były to „Prawa dla artystów teatru polskiego we Lwowie”, wydane w 1842 roku.

Z początku Skarbek powierzył Kamińskiemu funkcję reżysera i kierownika artystycznego, ale już po roku wyznaczył mu pomocnika w osobie, co prawda, utalentowanego, ale młodego jeszcze Bogumiła Dawisona. Opinia publiczna, bardzo wówczas przychylna Kamińskiemu, nie mogła tego Skarbkowi darować.

Trudno zresztą twierdzić, że nowy antreprenier próbował kontynuować wyznaczoną przez Kamińskiego linię repertuarową. Wnosił wprawdzie część tytułów autorów niemieckich, wprowadzonych przez Kamińskiego, ale ich miejsce zajął teraz głównie repertuar francuski, zwłaszcza komedia i dramat współczesny. Podkreślić przy tym warto, że polskie premiery tych utworów odbywały się niemal równolegle z paryskimi, nie było więc w tym względnie żadnych zaległości. Grano też chętnie dramaty Schillera i Shakespeare’a. W repertuarze rodzimym królowało w latach 40-tych dwóch komediopisarzy: Józef Korzeniowski, a po nim Aleksander Fredro.

Otwierając nowy gmach, zadbał Skarbek i o to, by wyposażyć go w odpowiedni zapas dekoracji i kostiumów. W teatrze ówczesnym, — zresztą niemal do schyłku XIX wieku — używano do przedstawień gotowych kompletów dekoracji, które zamawiano w pracowniach malarskich (najchętniej w Wiedniu) i wykorzystywano w różnych realizacjach.

Kiedy Skarbek budował nowy teatr we Lwowie i pracował nad nadaniem mu pewnego kierunku artystycznego, „pod boki” wyrastali już młodzi, którzy mieli z czasem go zastąpić.

Jednym z bardziej zjadliwych i bezlitosnych krytyków był w tamtych czasach młody jeszcze bardzo Jan Dobrzański, w przyszłości dyrektor teatru, a przez długie lata redaktor i właściciel jednego z najpoczytniejszych we Lwowie dzienników — „Gazety Narodowej”. Wtedy był początkującym „żurnalistą”, zarabiającym sobie na opinię zadziornego demokraty i człowieka, któremu lepiej było się nie narażać. Z drugiej jednak strony, nawet Karol Estreicher, jeden z najgorliwszych jego przeciwników, przyznawał, że to właśnie Jan Dobrzański stworzył nowy model recenzji teatralnej, nie poprzestającej na zdawkowych, nic nie mówiących uwagach i omówieniu treści dramatu.

Siła jego pióra, często bardzo subiektywnego, dała się wielu aktorom mocno we znaki. Najdotkliwiej cierpiał Bogumił Dawison, niezwykle wszechstronny i prezentujący bardzo — jak na owe czasy — nowoczesny, oszczędny model gry. Dobrzański „niszczył”

go systematycznie w swoich sprawozdaniach z teatru, tak, że w końcu Dawison, świadom przecież swojej wartości i talentu, opuścił Lwów, by w ciągu paru sezonów stać się jednym z największych artystów scen niemieckich.

W 1848 roku zmarł hrabia Skarbek. W ten sposób dobiegła końca pierwsza dyrekcja w nowym teatrze. Jego śmierć pominięto prawie zupełnym milczeniem, jakby zapomniano wszystkich jego dokonań. Długo, przez lata całe, nie wiadano nawet, gdzie został pochowany. Niechęć, jaką powszechnie ku niemu żywiono, przyćmiła nawet największe jego zasługi. Te zaległości wobec Skarbka zaczęto nadrabiać znacznie później i jakby nieco wstydliwie, tak, że właściwie dopiero historycy teatru zaczęli oddawać mu zasłużoną sprawiedliwość.

Po jego śmierci teatr lwowski przejął na lat 5 Juliusz Pfeiffer, o którym napisano w „Słowniku biograficznym Teatru Polskiego”: „Brakowało mu (...) kultury, jednak w czasach ogólnego zastoju i najsilniejszego naporu germanizacyjnego w Galicji zasłużył się jako dyrektor rzutki, ofiarny i wytrwały.” I to chyba prawda, bo skądinąd wiadomo, że dla pracy w teatrze gotów był poświęcić wszystko, o czym świadczy wynik podjętej przez niego próby porzucenia cygańskiego żywota i podjęcia pracy na stałej posadzie rewizora browaru. Próba była nieudana, ponieważ bez teatru żyć nie potrafił i nie chciał. Podobnie jak jego następcą, Tomasz Andrzej Chelchowski, przez wiele lat prowadził prowincjonalne zespoły teatralne, a w swojej karierze zapisał również epizod kierowania sceną w Krakowie.

Tomasz Chelchowski dyrektorem we Lwowie krócej i mniej fortunnie, niż Pfeiffer, bo tylko przez 3 lata, do 1857 roku, kiedy wyjechał ze Lwowa wraz z częścią swojego zespołu, po zupełnie nieudanej kadencji, znaczonej starciami z artystami i atakami prasy. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość i przyznać, że, pomimo niepowodzenia we Lwowie, cieszył się przez długie lata opinią świetnego dyrektora, łowcy talentów i nauczyciela.

Na jego miejsce we Lwowie weszła w 1857 roku spółka, złożona z dwóch zasłużonych dla polskiej sceny artystów: Jana Nepomucena Nowakowskiego i Witalisa Smochowskiego. Prowadzili teatr przez 6 lat. O tej dyrekcji krążyły rozmaite, czasem sprzeczne opinie: od pochwalnych po potępiające, a nawet lekceważące.

J.N. Nowakowski był wybitnym aktorem lwowskim, miał w swym dorobku wiele zankomitych ról, zagrał m.in. jako pierwszy rolę Cześnika w „Zemście”, a ponieważ rola ustawiana była zgodnie z koncepcją i wskazówkami Fredry, stała się wykonaniem wzorcowym i — by tak rzec — „kanonicznym” dla stylu fredrowskiego.

W. Smochowski był artystą, o którym można by powiedzieć mniej więcej to samo, co o Nowakowskim. Był jego rówieśnikiem, przyjacielem i — pierwszym fredrowskim Rejentem. W repertuarze jego dominowały role bohaterów szekspirowskich, a z czasem — postacie charakterystyczne.

Obaj — Nowakowski i Smochowski — cieszyli się opinią silnych indywidualności i „dusz niepokor-

nych". Być może dlatego oddano w ich ręce dyrekcję teatru, licząc na autorytet, jaki mieli w zespole, oraz na ich doświadczenie artystyczne.

Rok 1864 przynosi Lwowowi znowu dyrekcję jednoosobową. Po raz pierwszy objął wówczas teatr Adam Miłaszewski. Sytuacja w stosunku do dotychczasowej była jakby odwrócona. Do tej pory w jednym teatrze rządziło dwóch dyrektorów. Teraz w ręku jednego Miłaszewskiego znalazły się dwa teatry, ponieważ, obejmując scenę lwowską, był jednocześnie dyrektorem krakowskiej. Fakt przyjęcia przez niego zarządu okazał się dla dziejów skarbkowskiego teatru faktem istotnej wagi, nie tyle dla jego osiągnięć, ile raczej dlatego, że scena miała pozostawać pod jego dyrekcją aż do 1872 roku. Dodajmy, że po latach Miłaszewski powrócił jeszcze raz na to stanowisko.

Kim był Adam Miłaszewski? Aktorem, podobno zupełnie niezłym, ale za czasów swojej dyrektury pojawiał się na scenie tylko sporadycznie. Zdaje się, że wcześniej odezwała się w nim żyłka przedsiębiorcy, bo jeszcze w latach 50-tych prowadził w Żytomierzu teatr szlachty podolskiej, nad którym protektorat artystyczny sprawował Józef Ignacy Kraszewski.

Wykształceniem zbyt rozległym nie mógł się Miłaszewski poszczycić, lwowska prasa satyryczna obierała sobie często za przedmiot kpinek błędy językowe, jakie nagminnie popełniał. Z drugiej strony ceniono zawsze jego talenta administratorskie i to chyba decydowało o powierzaniu mu — mimo wszystko — kierowania sceną. Istotne były przy tym jego sympatie i powiązania polityczne z kręgami arystokratyczno-konserwatywnymi. Najbardziej bezpośrednio kojarząca się ze sprawami teatru i wiele w tej mierze wyjaśniająca była jego konseksja z kuratorem fundacji Skarbka w Drohowsku, księciem Karolem Jabłonowskim, na którego życliwość mógł zawsze liczyć.

Wydaje się, że, mimo pewnych zalet, jakie z pewnością posiadał, Miłaszewski nie bardzo kwalifikował się na stanowisko, które zajął. Umiał dobrze rachować i wiedział, że gdyby sobie dobrał współpracownika od spraw artystycznych, musiałby dzielić z nim zyski, a nie był podobno do tego skłonny. Wszystko to złożyło się na fakt, że za jego rządów oblicze teatru wyglądało dość niewyraźnie, nie zdradzając żadnego konsekwentnego zamysłu twórczego. Powiększył wprawdzie skromny dotąd zespół polskich aktorów z osiemnastu (w 1864 r.) do pięćdziesięciu osób (w r. 1867), próbował również wzbogacać repertuar, ale robił to raczej niefortunnie i nieumiejętnie.

Prrowadząc jednocześnie dyrekcję dwóch teatrów, przekonał się, że przerasta to jego siły i w 1865 roku zrezygnował ze sceny krakowskiej.

Trzeba przyznać Miłaszewskiemu pewne zasługi. Należały do nich próby wprowadzenia polskich wykonawców oper. Ponieważ jednak nie było polskiego zespołu śpiewaczego, wykonania te trudno było uznać za wydarzenia artystyczne — miały one znaczenie innego rzędu, powiedzmy, pionierskie.

Na lata pierwszej dyrektury Adama Miłaszewskiego przypada okres walki o wyrugowanie ze Lwowa zespołu niemieckiego. Z początkiem lat 60-tych ubiegłego wieku w monarchii austriackiej zaszły zmiany

natury politycznej. Cesarz wydał dwa istotnej wagi dokumenty: dyplom paździenikowy (1860) i patent lutowy (1861). Powoływały one do istnienia stosunkowo samodzielne parlamenty w poszczególnych „krainach” cesarstwa, początkując — również w Galicji — tzw. erę autonomiczną. Pierwszy polski sejm zebrał się we Lwowie już w 1861 roku. Wkrótce przyszła w nim kolej i na sprawy teatru.

Do batalii przystąpiono w roku 1865. Warunkiem likwidacji niemieckiego zespołu było zniesienie przywileju skarbkowskiego z 1842 r. Przesłanki były dość oczywiste: Austriacy nie byli w stanie utrzymać się o własnych siłach, pomimo korzystnych warunków i subwencji rządowej, którą z biegiem lat kilkakrotnie zwiększano. Niedobory w kasie teatru niemieckiego, które rosły w znacznie szybszym tempie, niż dotacje, pokrywać musiano pieniędzmi przeznaczonymi na zupełnie inne cele. Na utrzymanie artystów niemieckich płynęły więc nie tylko nadwyżki, wypracowane przez zespół polski, ale — co gorsza — pieniądze, przewidziane ostatnią wolą fundatora na budowę Instytutu Starców i Sierot, która, z powodu ciągłego odpływu gotówki, nie mogła dojść do skutku. Nie tak sobie to wszystko planował Skarbek. Kiedy uświadomiono sobie, że sytuacja taka może trwać aż do 1892 roku, czyli do wygaśnięcia przywileju skarbkowskiego, postanowiono zrobić wszystko, aby przywilej unieważnić przed upływem tego odległego terminu.

Od momentu złożenia w lwowskim sejmie formalnego wniosku o uwolnienie fundacji od uciążliwego „przywileju”, do momentu wydania oficjalnego rozporządzenia monarchy, datowanego na 20 X 1871 r. minęło sześć lat. Ostatnie przedstawienie niemieckie odbyło się we Lwowie 22 marca 1872 roku. Te sześć lat upłynęło na intensywnym i stanowczym działaniu strony polskiej, popieranym gorąco przez prasę, z „Gazetą Narodową” na czele. Artykuły, traktujące o sprawach sceny, opatrywano w wielu gazetach powtarzającym się hasłem: „precz z teatrem niemieckim!” Nie zdołało Polaków zniechęcić nawet żółwie tempo, w jakim kolejne instancje austriackiej administracji odpowiadały na kolejne urzędowe pisma i petycje. W końcu przecież udało się.

W momencie likwidacji przywileju również polski zespół stracił automatycznie wszystkie przysługujące mu dotychczas prawa. W wyniku podjętych w tej sprawie rokowań fundacja zobowiązała się w dalszym ciągu udostępniać salę teatralną oraz utrzymać wszystkie świadczenia na rzecz artystów, aż do 1892 roku. A były one bardzo potrzebne, ponieważ polski teatr, nie musząc już liczyć się z niemiecką konkurencją, miał teraz szansę na rozbudowanie się, i szansę tę wykorzystał.

Aby móc się temu przyjrzeć, cofnąć się trzeba do roku 1869. Dla teatru był to rok dość ważny. Adam Miłaszewski objął dyrekcję na kolejną, drugą kadencję, a wśród osób, którym leżało na sercu dobro sceny i jej przyszłość, zawiązało się Towarzystwo Przyjaciół Sceny Narodowej. Na jego czele stanął główny inicjator — Jan Aleksander Fredro. W skład Towarzystwa weszli literaci, artyści i dziennikarze, a także osoby spoza „środowiska”, pragnące wspierać teatr finansowo. Tych ostatnich było jednak niewiele. To-

warzystwo postawiło sobie za cel m.in. założenie szkoły dramatycznej we Lwowie, aby zapewnić scenie stały dopływ nowych sił. Szkoła dramatyczna działała przez 2 lata, borykając się przez cały ten czas z ogromnymi trudnościami finansowymi. Dyrektor Miłaszewski szybko się przy tym wycofał ze swojej obietnicy pełnienia wobec szkoły roli protektora, co, słusznie, miano mu za złe. Misja, podjęta przez Towarzystwo, poniosła zatem klęskę.

W takiej oto sytuacji wystąpił Jan Dobrzański. Początkujący, zadziorny recenzent stał się ogromnie wpływową we Lwowie figurą. Teraz widzimy go jako doświadczonego publicystę, właściciela bardzo poczytnej „Gazety Narodowej”, założyciela lwowskiego „Sokoła”, członka wielu najrozmaitszych stowarzyszeń i organizacji, zdeklarowanego demokratę, mającego za sobą period bohaterski i sławę trybuna ludowego z 1848 roku. Z powodu swoich przekonań politycznych stał, rzecz jasna, w ostrej opozycji wobec dyrektora Miłaszewskiego.

Jan Dobrzański podjął i rozpropagował pomysł, aby Towarzystwo Przyjaciół Sceny Narodowej zmieniło swoją strukturę, przekształcając się w spółkę akcyjną, a zebrawszy kapitał ze sprzedaży akcji, wystąpiło w konkursie o dyрекcję teatru Skarbka (wtedy właśnie, wraz z likwidacją przywileju, wygasała kadencja Adama Miłaszewskiego).

Stało się, jak zaplanowano. Powstało Akcyjne Towarzystwo Przyjaciół Sceny Narodowej z Komitetem Założycieli na czele. W składzie Komitetu znalazł się Jan Dobrzański. Kiedy Towarzystwo popadło w kłopoty pieniężne, nie mogąc rozprzedać wystarczającej liczby akcji, by móc się formalnie zarejestrować i ubiegać o dyрекcję, Dobrzański dołożył z własnej kieszeni brakującą sumę. W końcu Komitet Założycieli w imieniu Towarzystwa w kwietniu 1872 roku objął zarząd teatru.

W nowy etap samodzielnej działalności wszedł zatem teatr z nowymi nadziejami, odciążony i zreformowany. Dzięki staraniom Komitetu Założycieli utworzono pierwszą we Lwowie polską operę. Miała ona w przyszłości wydatnie podnieść poziom teatru i jego prestiż. Z drugiej jednak strony przysporzyła problemów finansowych przedsiębiorstwu. Pomimo wielu załamań i kilkakrotnego zagrożenia bytu opery udało się ją przecież utrzymać w teatrze Skarbka na stałe.

W ciągu kolejnych trzech lat istnienia teatru (1872-75) wydarzyło się więcej, niż powinno. Okazało się bowiem, że reformatorów sceny, postawionej wobec nowych warunków, było wielu, ale przeważnie nie udawało się — z rozmaitych zresztą przyczyn — tych szczytnych projektów zrealizować. Skutkiem tego zaszło w tym okresie tyle zmian osobowych w łonie dyрекcji lwowskiego teatru, że prasa pisała wprost o „skandalach teatralnych”, a dziennikarze i współcześni kronikarze gubili się w rachunkach. Skład zarządu teatru zmienił się wówczas piętnastokrotnie! Łatwo sobie więc wyobrazić, co działo się w zespole i jak fatalny miało wpływ na jego morale i działalność artystyczną. Doszło w końcu do tego, że Wydział Krajowy, chcąc w 1874 roku wypłacić subwencję, zwrócił się z oficjalnym pytaniem: kto właściwie

kieruje teatrem? — ponieważ nie było wiadomo, w czyje ręce oddać pieniądze! aktorom przestano regularnie wypłacać zarobki, repertuar odnawiany był sporadycznie i przypadkowo, a zespół wewnętrznie skłócony.

Wreszcie Rada Administracyjna Fundacji Drohowskiej rozpięła nowy konkurs na dyрекcję teatru, widząc, że to, co się dzieje, prowadzi wprost do katastrofy. W wyniku konkursu wiosną 1875 roku dyрекcję otrzymał Jan Dobrzański. On i jego syn, Stanisław, bardzo utalentowany komik i autor dramatyczny, mieli już w ciągu ostatnich lat pewien udział w kształtowaniu oblicza teatru. Jako redaktor „Gazety Narodowej” Jan Dobrzański brał czynny udział w akcji na rzecz wyeliminowania teatru niemieckiego, potem przez pewien czas wchodził w skład Komitetu Założycieli Towarzystwa Akcyjnego. Wtedy właśnie Stanisław Dobrzański, który prowadził teatr w Poznaniu, zjechał ze znaczną częścią swoich aktorów do Lwowa, aby zasilić tutejszy zespół. Ponieważ wykazywał wiele talentów, w ciągu owych burzliwych lat 1872-75 pełnił funkcję kierownika artystycznego, a także współdyrektora za czasów spółki artystów. Teraz, w 1875 roku, powrócił do dyрекcji artystycznej. Na tym stanowisku pozostał do śmierci. Zmarł w 1880 roku, w wieku zaledwie 33 lat. Pięciolecie, w którym odpowiadał za artystyczny dorobek sceny, już współcześni mu nazwali „złotym” okresem w dziejach tego teatru. Jak dotąd, nikt nie miał powodu, aby tę opinię podważyć. Dobry, przemysłany repertuar, znakomity zespół wykonawczy, który otrzymywał tak wysokie gaże, jakich nie mógł zaproponować nawet najlepszym teatrom krakowskim, atmosfera pewnego komfortu i spokojnej pracy, jaką udało się przez te lata stworzyć — wszystko to sprawiło, że skarbkowska scena cieszyć się znów zaczęła opinią placówki porównywalnej z podobnymi w Wiedniu, czy Paryżu.

Kadencja dyрекcyjna zakończyła się w 1881 roku — Jan Dobrzański musiał ją doprowadzić do końca sam, złamany i osamotniony. Na dwa kolejne lata jego miejsce zajął ponownie Adam Miłaszewski, ale tym razem poszło mu jeszcze gorzej, niż poprzednio, tym bardziej, że nie cieszył się sympatią ani autorytetem w zespole. Obniżył gaże, w wyniku czego kilkoro najlepszych aktorów złożyło dymisję; zlikwidował wprowadzoną przez Dobrzańskiego, a cieszącą się znacznym powodzeniem instytucję tanich sobotnich i niedzielnych przedstawień popołudniowych; niebył umiejętnie dobierał repertuar (i tym razem nie zatrudnił kierownika artystycznego). W końcu opinia publiczna i prasa otwarcie wystąpiły przeciwko niemu, zanosząc do władz petycję o zdjęcie Miłaszewskiego ze stanowiska. Sam dyrektor wy-czuwał doskonale otaczającą go atmosferę niechęci i wcześniej złożył rezygnację.

Pozostał teraz problem, kto przyjmie po nim dyрекcję, ponieważ tym razem nie było żadnych zgłoszeń w konkursie, rozpisany przez radę fundacji. Wyłoniono więc oficjalną delegację, która poprosiła Jana Dobrzańskiego o ponowne objęcie tej funkcji. Prośbę przyjął.

Ta dyрекcja nie była już tak udana, jak w czasach,

kiedy żył Stanisław Dobrzański, ale Jan, sam poważnie chory, nie szczędził sił i pieniędzy, aby podźwignąć scenę. Bez dyskusji proponował, na przykład, podwojenie gaży, jeśli zależało mu na zaangażowaniu dobrego aktora z innego teatru. Tak było choćby w przypadku Romana Żelazowskiego, który w 1883 roku przeszedł tu ze sceny krakowskiej.

Śmierć Jana Dobrzańskiego w 1886 roku skutecznie pokrzyżowała plany, dotyczące działalności teatru. Projektowano, że doprowadzi on tę instytucję do 1892 roku, czyli do momentu ustania zobowiązań fundacji skarbkowskiej. Miało się jednak stać inaczej, a scenę czekały jeszcze kilkakrotne zmiany kolejnych, często niefortunnych, dyrekcyj. Do czasów Pawlikowskiego i otwarcia nowego gmachu nie doczekał się teatr godnego następcy Dobrzańskich:

1886-87 — zarządzała spółka: Celina Dobrzańska i Stanisław Niewiadomski. Była to zupełnie nieudana dyrekcja, wymuszona w pewnym sensie życzeniem umierającego Jana Dobrzańskiego, który testamentem przekazał zarząd w ręce córki.

1887-90 — dyrektorem był aktor, Władysław Barącz, który zaplątał się do tego stopnia w problemy i zaległości finansowe, że, kończąc dyrekcję, musiał całe odstępne za koncepcję przeznaczyć na wypłacenie opóźnionych gaż zespołowi.

1890-94 — prowadził teatr Zygmunt Schmitt, współwłaściciel „Dziennika Polskiego”. Dość zręczny organizator, miał jednak pewne braki w edukacji literackiej, a przy tym wchodził nader często w konflikty z artystami (za jego kadencji, w marcu 1891 roku, doszło nawet do strajku aktorów, kiedy próbował — z ich stratą — reformować system wynagrodzeń).

1894-96 — Kadencja Zygmunta Przybylskiego, dramaturga. Mimo dobrej woli nie umiał sobie poradzić z natłokiem trudności, jakie zastał w teatrze.

1896-99 — sceną kierował Ludwik Heller, urzędnik kolejowy. Dopiero jemu udało się dźwignąć przedsiębiorstwo. Był dobrym szefem, na fotel dyrektorski we Lwowie miał zresztą jeszcze powrócić, ponieważ jednak na razie nie widział szansy na objęcie kierownictwa w nowo budowanym teatrze, wycofał się z początkiem maja 1899 roku.

Okres do października 1900, kiedy otwarto Teatr Miejski, zespół przetrwał, wyłoniwszy spośród siebie samorząd aktorski, który jednak nie był w stanie radzić sobie z administracją. Latem 1899 zawieszono ostatecznie przedstawienia, a wznowiono je dopiero w październiku 1900 roku, w nowym budynku i pod nową, tym razem znakomitą, dyrekcją Tadeusza Pawlikowskiego.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

Janina Augustyn-Puziewicz, *Lwów — wspomnienie lat szczęśliwych*, tom I, Wydawnictwo WERK s.c., Wrocław 1994 r.

Sercem pisane...

Pierwszemu tomowi wspomnień o Lwowie Janina Augustyn-Puziewicz dała podtytuł „wspomnienie lat szczęśliwych”. I rzeczywiście szczęście i miłość znajdzie czytelnik na każdej stronicy debiutu literackiego wrocławskiej lekarki snującej opowieść o latach dzieciństwa spędzonych we Lwowie.

Czyta się te wspomnienia sprzed kilkudziesięciu lat jednym tchem, jakby dawno nie spotykana przyjaciółka odnalazła nas i pytała „nie zapomniałaś? pamiętasz?”. Bo są to wspomnienia również niejednej z nas wtedy dziewczynki z kokardką we włosach, w granatowym bercedku i szkolnym, obowiązującym fartuszką z falbankami. Wspomnienia odległych lat kiedy to dwa dodane do dwóch zawsze stanowiły cztery, kiedy miałyśmy pewność, że nie może spotkać nas nic złego bo otacza nas miłość, opieka i życzliwość, kiedy droga w przyszłość była prosta i jasna. I kiedy nie ulegało wątpliwości, że zawsze i zewsząd, nawet z najodleglejszych krańców świata będziemy wracać do domu, do Lwowa bo tam będą za nami tęsknić, czekać na nas, tam zawsze pomogą, pochwalą, pocieszą.

Tak miało być. A pozostała tylko pamięć kilku szczęśliwych lat. Kierowana busołą pamięci wspomina więc autorka rodzinę, przyjaciół i znajomych, domy i podwórka, ulice i sklepy, parki, zieleńce i szkoły. I dnie najgłębiej zapadające w pamięć — święta: Boże Narodzenie, Wielkanoc, Zadzuszki. I wreszcie ostatecznie przedwojenne wakacje, wakacje po których już nie było jak przedtem. Po których zabrakło pewności, stabilizacji, godzin spokojnego snu. Ale o tym Janina Augustyn-Puziewicz napisze zapewne w zapowiadanej na wrzesień drugim tomie wspomnień „Lwów — wspomnienie lat wojennych”. Czekamy niecierpliwie.

Danuta Kotowicz

* * *

Ostatnio ukazała się nowa pozycja wydawnicza znanego lwowskiego infulata ks. dra Wacława Szelnickiego pt.: „Kapituła Metropolitalna we Wrocławiu w latach 1952-1993”. Jest to trzynasta książka tego kresowego historyka, w której niesposób było pominąć sprawy związane z naszymi Kresami. Jest to bowiem dalszy ciąg losów kapłanów, których wydarzenia wojenne i polityczne rzuciły ze Wschodu na Zachód. Autor odsłania wiele nieznanych dla laickiego czytelnika, a nawet dla duchownych szczegółów zcierania się ideologii chrześcijańskiej z komunizmem i tzw. socjalizmem. Podaje m.in. przykłady walki z Kościołem nawet takich osób, jak późniejszy pierwszy premiera RP.

Artykuł dyskusyjny. Spór o ppłk. Macielińskiego

Ppłk. Emil Macieliński „Kornel” pełnił funkcję komendanta Obszaru nr 3 ZWZ we Lwowie w latach okupacji sowieckiej 1940-41. Jako zdrajca został zasądzony przez Wojskowy Sąd przy Komendzie Głównej ZWZ na karę śmierci, która została wykonana w grudniu 1941 r. w Warszawie, uprzednio zatwierdzona przez gen. Stefana Roweckiego-Grota.

W książce pt. „Lwów pod okupacją sowiecką 1939-1941”, Jerzy Węgierski sporo miejsca poświęcił ppłk. Macielińskiemu występując w roli jego obrońcy. Wysuwa wiele zastrzeżeń w sprawie wydanego wyroku i swoimi sugestiami i twierdzeniami usiłuje wykazać niewinność straconego Macielińskiego.

Jako człowiek, który przeszedł przez piekło sowieckiego śledztwa, więzienia i łagrów, w sumie przeżyłem ponad 15 lat w przybytkach sowieckiego NKWD (1 rok w sowieckiej niewoli jako jeńiec wojenny i później ponad 14 lat jako akowiec-katorżnik) po przeczytaniu tej książki nie mogłem pozostać obojętny i nie zareagować na jej treść.

Nie jestem prawnikiem i nie mam zamiaru występować w roli oskarżyciela, czy obrońcy. Postaram się tylko przedstawić swoje wnioski, odczucia i stwierdzenia, na podstawie których niech czytelnik sam wyda sąd. Ktokolwiek przeszedł przez sowieckie śledztwo, więzienie i łagry wie, że NKWD kierowało się jedną zasadą: aby wykryć i unieszkodliwić jednego winowajcę, można aresztować i osądzić stu niewinnych. Wobec takiej doktryny aresztowany przez NKWD, jeżeli mu nawet niczego nie udowodniono, mógł opuścić więzienie tylko pod warunkiem wyrażenia zgody na współpracę. Nie było wyjątków, obojętnie, czy to był inteligent, wojskowy oficer, czy analfabeta, niewykwalifikowany, fizyczny robotnik. Wyrok sądu w wysokości od 5 do 10 lat wydawało tzw. „OSO” (Osoboje sowieszczanie). Zazwyczaj skazany przez „OSO” po odbyciu kary otrzymywał zawiadomienie, że mu przedłużono wyrok o dalsze 5 albo 10 lat. Mogło się zdarzyć, że taki człowiek nigdy nie opuszczał łagru. W 1950 r. spotkałem w łagrze w Spas-ku koło Karagandy jednego Rosjanina (nazwiska nie pamiętam), który skazany przez „OSO” przebywał już 17 rok w łagrze. J. Węgierski, który jako żołnierz AK zetknął się z sowieckim śledztwem, więzieniem i łag-rami dobrze o tym wie.

W listopadzie 1992 r. na spotkaniu w KIK-u z mieszkańcami Wrocławia, a właściwie z byłymi żołnierzami lwowskiej AK prof. Węgierski oświadczył, że ma zamiar przeprowadzić rewizję nadzwyczajną wyroku Macielińskiego, zaznaczając przy tym, że nie ma znaczenia fakt, iż był on czterokrotnie we Lwowie aresztowany przez NKWD i wypuszczany na wolność. Dla poparcia swej tezy stwierdził, iż mógł być wypuszczony za protekcją i podaje naiwny przykład, jak to przy budowie drogi pod jego kierownictwem jeden z fizycznych robotników, czy nawet jeńców wojennych

ukradł drewniany podkład kolejowy i został aresztowany, ale po interwencji kpt. NKWD zwolniono go bez sądu. Gdy w ręce NKWD wpadł nawet prosty, fizyczny robotnik analfabeta, starano się nakłonić go do współpracy przy zwalnianiu, a coś dopiero mówić o człowieku inteligentnym, a zwłaszcza o oficerze wojska polskiego. Doświadczyłem osobiście takiego wydarzenia z aresztowaniem przez NKWD. Jesienią 1940 r. uciekłem szczęśliwie do Lwowa, jako jeńiec wojenny, z sowieckiego łagru w Republice Komi, gdzie byliśmy zatrudnieni przy budowie drogi kolejowej Kotłas – Workuta. Po nawiązaniu we Lwowie kontaktu z organizacją podziemną, do której nie należałem ale przy jej pomocy zdobyłem sowiecki paszport jako fizyczny, niewykwalifikowany robotnik, analfabeta, podpisujący się trzema krzyżykami, na nazwisko – Wiśniewski. W styczniu 1941 r. zostałem aresztowany, nocą wyciągnięty z łóżka, wskutek zdrady jednego lwowianina, któremu starałem się pomóc, ponieważ także uciekł z niewoli, a trzymany był w Skniłowie pod Lwowem. Ponieważ nie udowodniono mi tego o co mnie oskarżał, zostałem zwolniony po podpisaniu trzema krzyżykami oświadczenia, że do rozprawy sądowej nie opuszczę miasta Lwowa. W marcu albo w kwietniu, po odbytej rozprawie, przypomniano sobie w NKWD o moim istnieniu, wezwano na posterunek milicji i usiłowano nakłonić mnie do współpracy. Dokładnie o tym piszę w swoich wspomnieniach, wydanych w roku 1989 w drugim obiegu przez Inicjatywę Wydawniczą ASPEKT we Wrocławiu pt. „Powroty do Lwowa”.

W swej książce J. Węgierski pisze, że Macieliński jako dowódca był nieudolny i nie nadawał się ani nie dorastał do swego stanowiska. W jaki sposób wobec tego znalazł się na tak wysokim szczeblu dowodzenia? Sprzyjały temu stworzone okoliczności, przy których pomogło mu w dużym stopniu NKWD. Postawa, jaką reprezentował Macieliński, dla NKWD była dogodna, dlatego rozciągnięto nad nim parasol ochronny, aby nie dopuścić do jego usunięcia z zajmowanego stanowiska komendanta Obszaru. Dlatego, każdy, kto mógł zagrozić Macielińskiemu zostawał aresztowany, szczególnie wysyłani z Centrali Dowodzenia. NKWD dostarczyło mu radiostację, dzięki której miał bezpośredni kontakt z Bazą w Budapeszcie oraz z Centralą Dowodzenia w Paryżu i w Londynie, będąc kontrolowany przez NKWD. Współpracował Macieliński z NKWD od pierwszego swego aresztowania, które miało miejsce w styczniu 1940 r. (Relacja z książki Z. Siemaszki pt. „W sowieckim osaczeniu”).

Na terenie Obszaru ZWZ nr 3 we Lwowie były dwie rywalizujące ze sobą organizacje ZWZ 1 i ZWZ 2. Komendantem ZWZ 1 był ppłk. Żebrowski „Żuk” a jego zastępcą ppłk. Kotarski „Wilk”. Natomiast Komendantem ZWZ 2 był mjr Zygmunt Dobrowolski „Feliks”. Poza tym była trzecia licząca się organizacja

wojskowa pod dowództwem ppłk. dypl. Jana Sokołowskiego ps. „Trzaska”. W październiku 1939 r. przybył z Warszawy do Lwowa wysłannik od generała Tokarzewskiego z odpowiednimi instrukcjami. Był to mjr dypl. Klotz ps. „Niewiarowski”, który nawiązał kontakt z ppłk. J. Sokołowskim. Obaj, ppłk. Sokołowski jako dowódca i mjr Klotz jako jego zastępca stworzyli już w listopadzie strukturę organizacyjną SZP (Służba Zwycięstwu Polski) Obszaru Lwowskiego, przemianowaną później na ZWZ (Związek Walki Zbrojnej). Obszernie o ppłk. Sokołowskim pisze A. Lenkiewicz w książce pt. „Zapomniany Pułkownik”.

W kwietniu 1940 r. został aresztowany ppłk. Żebrowski, a w kilka dni później jego zastępca ppłk. Kotarski. Komendę Obszaru ZWZ 1 po nich objął mjr Emil Macieliński „Kornel”, dotychczasowy komendant Okręgu Lwów – Zachód ZWZ 1. Był już wtedy kilkakrotnie aresztowany i wypuszczany przez NKWD. Centrala Dowództwa w Paryżu nie orientowała się w sytuacji we Lwowie, o aresztowaniach Macielińskiego nic nie wiedziała. Ponieważ Macieliński nie należał do obozu sanacyjnego i był raczej z nim skłócony, aprobowala go na tym stanowisku jako p.o. Komendanta z równoczesnym awansem na ppłk. Od tego momentu ustały aresztowania, ale w organizacji nic się nie działo, nastał zupełny bezruch. Aby temu zapobiec, uzdrowić sytuację i połączyć obie organizacje został wysłany z Paryża do Lwowa ppłk. Pstrokoński ps. „Stefan Łoziński” z ewentualnym objęciem komendy nad całym Obszarem.

We Lwowie ppłk. Pstrokoński nawiązał kontakt z ZWZ 2 Dobrowolskiego, gdzie go ostrzeżono, że Macieliński współpracuje z NKWD. Początkowo unikał spotkania z „Kornelem”, ale w końcu musiał się z nim spotkać, ponieważ do niego właściwie został skierowany. Przy spotkaniu proponował „Kornelowi”, by wziął bezterminowy urlop, a funkcję komendanta będzie pełnił osobiście Pstrokoński do czasu zanim nie znajdzie odpowiedniego kandydata. Rozmowy te były prowadzone w czerwcu, po których we Lwowie nastąpiło szereg aresztowań, głównie wśród ZWZ 2. W czasie tych aresztowań 22 czerwca został aresztowany ppłk. Pstrokoński wraz z kpt. Mroźkiem.

W czasie śledztwa Pstrokoński dowiedział się do jakiego stopnia polskie organizacje podziemne są spenetrowane i kontrolowane przez NKWD. Sędzia śledczy przekonał go, że był kontrolowany od momentu wyjazdu z Paryża. Opisał mu całą przebytą trasę. Pstrokoński był tym tak przerażony, że gdy mu proponowano wolność i kierowanie organizacją, ale pod ich kontrolą, wyraził zgodę i postanowił nie znając w swej naiwności perfidnych metod NKWD, zagrać rolę Wallenroda tj. oddzielić Macielińskiego od organizacji, zlikwidować go i następnie uciec na Zachód.

Współpraca Pstrokońskiego z NKWD trwała tylko 10 dni, w czasie których zdążył przez prof. Wasylewskiego ostrzec wszystkich, by nie starali się z nim spotykać, ponieważ on współpracuje z NKWD i jest śledzony. Spotkał się tylko kilka razy z „Kornelem”, bez obawy, że z tego powodu zostanie on aresztowany. Zwierzył się jemu, że zamierza wyjechać do Warszawy, w czym „Kornel” obiecał mu pomóc. Pomógł, ale

zamiast do Warszawy, do Moskwy. Ostatni raz spotkali się na stacji kolejowej. Gdy tylko Pstrokoński wsiadł do pociągu, na najbliższej stacji kolejowej w Barszczowicach został powtórnie aresztowany. Macieliński w dalszym ciągu pełnił funkcję komendanta mimo spotkań z Pstrokońskim.

Barszczowice leżą w przeciwnym kierunku niż droga do Warszawy. Tą trasą przez Równe chciał się dostać do Białegostoku, a stamtąd do Warszawy. Jak relacjonuje Paweł Lisiewicz w swej pracy „Z Dziejów Wojskowego Sądownictwa Specjalnego Armii Krajowej”, Instytut Wydawniczy Zw. Zaw. W-wa 1988 r. na str. 222: „Macieliński kazał go w drodze zlikwidować, ale NKWD w czas go aresztowało i tym samym uratowało mu życie”. W tym czasie znikł komendant ZWZ 2 mjr Dobrowolski, prawdopodobnie aresztowany, jego miejsce zajął ppłk. Paszkowski „Zadora”.

Tymczasem dla uporządkowania działalności ZWZ i uzdrowienia sytuacji we Lwowie został skierowany tam płk. Leopold Okulicki. Sytuacja we Lwowie bardzo niepokoiła gen. Roweckiego, głównie z powodu „Kornela”, do którego miał coraz większe zastrzeżenia i coraz bardziej podejrzewał go o współpracę z NKWD, szczególnie po wynikłej sprawie z „Marcyniukiem”. W sierpniu lub wrześniu 1940 r. został wysłany kurier z Warszawy do Lwowa, oficer policji Włodzimierz Kordecki „Marcyniuk”, który na wyznaczonym miejscu spotkania z Macielińskim został aresztowany przez NKWD. Po kilku dniach badań zgodził się „Marcyniuk” na współpracę z NKWD, które skontaktowało go z Macielińskim. Wkrótce został „Marcyniuk” wysłany ze Lwowa do Warszawy z zadaniem rozpracowania tamtejszego Dowództwa ZWZ. Do Warszawy przybył w październiku 1940 r. (jeszcze przed odjazdem Okulickiego do Lwowa) i zameldował lojalnie o całym przebiegu spraw.

Płk. Okulicki przybył do Lwowa 2 listopada 1940 r. Z polecenia gen. Roweckiego miał objąć kierownictwo nad całością ZWZ pod okupacją sowiecką. Był on poinformowany o charakterze organizacji Macielińskiego, więc jej unikał, natomiast skontaktował się z ppłk. Sokołowskim. Chociaż unikał organizacji Macielińskiego to jednak 22 stycznia został aresztowany. Po aresztowaniu ppłk. Okulickiego kurier z Warszawy przywiózł ppłk. Sokołowskiemu nominację na pułkownika i dowódcę ZWZ na terenie okupacji sowieckiej. W dokumentach AK/t. II str. 116 jest informacja gen. Roweckiego przekazana do Londynu, która brzmi: „W końcu października 1940 r. przyjechał do Lwowa ob. „Mrówka” (Leopold Okulicki), któremu grupa Dobrowolskiego podporządkowała się bez zastrzeżeń. Grupa „Trzaski” (Sokołowskiego) zgłosiła swą współpracę (...). Po aresztowaniu „Mrówki” zastępstwo Komendanta Obszaru okupacji sowieckiej objął czasowo ob. „Niewiarowski” (mjr. Alfons Klotz), a potem przekazał je ob. „Trzascie”.

Płk. Jan Sokołowski dopiero w lipcu 1941 r., po zajęciu Lwowa przez Niemców złożył rezygnację z dowodzenia i powołał zupełnie nową organizację „Wierni Polsce” na bazie legionowej. J. Węgierski twierdzi, że zrobił to z powodu urażonej ambicji. A prawda jest taka, że płk. pragnął jak najdalej odsunąć się od Macielińskiego, którego uważał za nieudolnego dowó-

dcę, a przede wszystkim był przekonany, że współpracuje z NKWD. Odsuwając się od ZWZ spenetrowanego przez NKWD i tworząc niezależną organizację na bazie legionowej, zabezpieczał się przed NKWD. Później stworzył jeszcze zbrojne ramie tej organizacji – Karpackie Oddziały Bojowe – i podporządkował je Konwentowi Organizacji Niepodległościowych, wojskowo podporządkowanemu Armii Krajowej. Poza tym płk. Sokołowski zdawał sobie sprawę, że Centrala Dowództwa w Londynie nie zaaprobuje go na Komendanta Obszaru ZWZ ze względu na przynależność do obozu sanacyjnego, na który spadło całe odium za poniesione klęski w 1939 r. Ludzie byleż sanacji nie byli mile widziani na odpowiedzialnych stanowiskach.

Prof. J. Węgierski w swej książce „Lwów pod okupacją sowiecką” z wielką awersją odnosi się do mjr Alfonsa Klotza. Sięga do czasów, kiedy ten pełnił funkcję starosty grodzkiego we Lwowie, nazywa go intrygantem, który wytworzył atmosferę podejrzeń wokół Macielińskiego. Nikt nie mógłby stworzyć takiej atmosfery, gdyby „Kornel” sam się do tego nie przyczynił przez to, że był kilkakrotnie aresztowany i wypuszczany, a jako kierowca u sowieckiego profesora biologii miał łatwe miejsce i dogodny do kontaktu z NKWD. Wydawał również nieodpowiedzialne zarządzenia. Mjr Klotz, szef wywiadu na Ukrainę, zastępca dowódcy organizacji „Wierni Polsce” przedstawiony przez J. Węgierskiego jako postać negatywna popisał się jednak niepospolitym wyczynem. Udał się na wędrowkę po ZSRR, aby odszukać łagier, w którym znajdował się gen. Tokarzewski, by mu udzielić pomocy oraz zapoznać się z warunkami bytowania deportowanej ludności z Kresów Wschodnich, zagarniętych przez ZSRR w 1939 r., jak również jeńców wojennych i więźniów trzymanyh w sowieckich łagrach zagłady, co w tych czasach nie należało do spraw łatwych i bezpiecznych.

Nie tylko w książce „Lwów pod okupacją sowiecką” J. Węgierski obwinia mjr Klotza za wydanie wyroku śmierci na Macielińskiego, ale powtarza też oskarżenia w udzielanych wywiadach na łamach prasy. W „Gazecie Wyborczej” z dnia 23-24 kwietnia 1994 r. ukazał się wywiad z prof. Węgierskim, w którym prowadząca wywiad Eżbieta Kotarska konkluduje: „Historyczne dociekania prof. Węgierskiego oczyściły ppłk. Macielińskiego „Kornela” z zarzutu zdrady”. Gdyby E. Kotarska zaznajomiła się z treścią książki Zbigniewa S. Siemaszko pt. „W sowieckim osaczeniu 1939/1943”, wydanej przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie 1991 r. na pewno tak pochopnie nie wydałaby sądu o „historycznych dociekaniach” prof. Węgierskiego. Interlokutor ubolewa, że nie zupełnie mu się to udało, ale dla potwierdzenia niewinności Macielińskiego powtarza swoje argumenty zawarte w książce „Lwów pod okupacją sowiecką”: „Nagonkę na Macielińskiego rozpętał jego osobisty wróg mjr Alfons Klotz, który wokół Macielińskiego osnuł siatkę podejrzeń, co (tu wprowadza karkołomny wniosek) sprytnie wykorzystali niewątpliwi konfidenti E. Gola i E. Metzger. Mieli alibi rzucając winę za aresztowania na Macielińskiego. Z tego wynikałoby, że mjr Klotz i współpracownicy „Kornela” E. Gola i E. Metzger

wyrobili mu opinię na podstawie której Macieliński wraz z Golą i Metzgerem zostali skazani na karę śmierci. Do jakiego stopnia Autor książki J. Węgierski „Lwów pod okupacją sowiecką” czuje osobistą awersję do mjr Klotza świadczy fakt, że nawet obecnie, podczas wywiadu, aby go bardziej pogrzyżyć, wyszukał siostrzeńca żony mjr Klotza, od którego się dowiedział, że „Klotz na początku pierwszej okupacji sowieckiej był aresztowany, NKWD wiedziało kim jest i zwolniło go”. Czy to ma być dowód świadczący o niewinności Macielińskiego? Redaktor Michnik w swojej „Gazecie Wyborczej” bardzo chętnie drukuje różne sensacyjne wiadomości, szkalujące polskie, podziemne organizacje wojskowe w czasie wojny, a szczególnie AK i NSZ. Artykuły te dostarczają mu tacy autorzy jak Dawid Warszawski, Michał Cichy, Teresa Prekerowa i inni. Przykro, mi, że do tego grona dołączył się człowiek o tak znanym nazwisku jak prof. Węgierski.

Wydając tę książkę J. Węgierski podważa autorytet najdzielniejszego i najwspanialszego dowódcy ZWZ-AK Gen. Stefana Roweckiego „Grota” oraz Sądu przy Komendzie Głównej tej organizacji. Generał na pewno długo rozważał wszystkie argumenty za i przeciw, bo dopiero po upływie miesiąca podpisał wyrok do wykonania. W ten sposób przysła PRL została pozbawiona jednego z kolaborantów w rodzaju Berlinga, Świerczewskiego, Roli-Żymierskiego oraz Jaruzelskiego, który przez całe życie służył imperium zła i zbrodni, a dziś ma czelność kreować się na zbawcę ojczyzny za wprowadzenie stanu wojennego.

Dziś dopiero wiadomo do jakiego stopnia PRL była naszpikowana zdrajcami-kolaborantami rodzimymi i konfidentami nasłanymi z ZSRR różnego kalibru i autoramentu. Dla przykładu podam dwóch zdrajców, którzy mnie wydali w ręce NKWD. Obaj byli żołnierzami AK. Jeden z nich Jan Kulikowski ps. „Sas” wywodził się z 14 puł. AK, służył w 2-gim szwadronie tego pułku, dowodzonym przez ppor. cz.w. „Antka”, obecnego autora książki. Kulikowski wskazał mnie na ulicy Lwowa. Był bardzo gorliwym agentem, występował jako prowokator w celach więziennych. Po ekspatriacji ze Lwowa współpracował z UB. W PRL, dosłużył się pułkownika Straży Pożarnej w Tarnobrzegu. Przed dwoma laty skończył swój żywot w Mielcu jako alkoholik. Drugi zdrajca, Czesław Rutkowski „Borowik” był wtyczką w AK w Inspektoracie Stryjskim, pochodził ze Stryja. Wydał masę żołnierzy w ręce NKWD, a wśród nich Komendanta Inspektoratu Stryjskiego ppłk. Zdzisława Pacaka-Kuźmierskiego „Andrzeja”, (wskazał go na ul. Lwowa) i Komendanta Okręgu Stanisławowskiego AK mjr Władysława Hermana ps. „Globus”. Był nie tylko konfidentem ale i niebezpiecznym prowokatorem, autorem wszystkich moich najcięższych oskarżeń, za które wydano na mnie najwyższy wyrok tj. karę śmierci, zamienioną po 60 dniach na 20 lat katorgi. Jako ekspatriant współpracował w PRL z UB i dosłużył się stopnia pułkownika SB w Olsztynie. W latach osiemdziesiątych przebywał na placówce dyplomatycznej w Chinach. Najsmutniejsze jest to, że jest kawalerem krzyża Orderu Virtuti Militari, który mu nadano w latach sześćdziesiątych na wniosek swoich ofiar tj. „Andrzeja”

płk. Pacak-Kuźmierskiego i „Globusa” mjr Władysław Hermana do podpisania którego obaj byli zmuszeni. Dowiedziałem się o tym z maszynopisu opracowanego przez Aleksandra Niementowskiego ps. „Krzysztof”. „Informacja o niektórych zagadnieniach związanych z powstaniem, organizacją i działaniem 11 Dywizji Karpackiej, Partyzanckiej AK na terenie Inspektoratów Stryj i Nadwórna Okręgu Stanisławów”. Na liście 15 żołnierzy tej dywizji przedstawionych do odznaczenia, znalazł się sowiecki agent, Czesław Rutkowski „Borowik”, o którym jako o agencie wspomina w swej książce pt. „Armia Krajowa w Zagłębiu Naftowym i na Samborszczyźnie” na str. 149 J. Węgierski.

Wszyscy odznaczeni otrzymali zaświadczenia z Zarządu Głównego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację oraz legitymacje wydane przez Departament Kadr Ministerstwa Obrony Narodowej w Warszawie.

Obaj aresztowani, „Andrzej” i „Glubus” występowali jako świadkowie oskarżenia na procesie gen. Okulickiego w Moskwie w czerwcu 1945 r. co oznacza, że zgodzili się recytować oskarżenia przygotowane przez NKWD. W nagrodę za to obaj wkrótce znaleźli się na wolności w PRL, podczas gdy innych, przywiezionych na ten proces do Moskwy z więzień lwowskich (około 20 osób w tej liczbie i mnie), ale nie biorących udziału w procesie, przewieziono z powrotem do Lwowa, by im wymierzyć najwyższe wyroki. Gdy obaj już raz zdecydowali się na uległość wobec NKWD, musieli być nadal posłuszni i ulegli wobec UB i podpisać wnioski na odznaczenie krzyżami *Virtuti Militari*, wśród których znalazł się wniosek ich oprawcy.

Płk. Zdzisław Pacak należy do dzielnych obrońców Warszawy w 1939 r. Za obronę wolskiej reduty wówczas porucznik awansował do stopnia kapitana i otrzymał krzyż Orderu *Virtuti Militari* V klasy. W marcu 1942 r. uciekł z Oflagu nr II C w Woldenbergu do Warszawy, gdzie wstąpił się jako dzielny żołnierz AK. Dowodząc oddziałem „OSA” (Organizacja Specjalnych Akcji) w maju 1943 r. uwolnił na stacji kolejowej, Celestynów, więźniów transportowanych do Oświęcimia. We wrześniu 1943 r. przeniesiony został na stanowisko Komendanta Inspektoratu Stryj, gdzie zorganizował obronę miejscowej ludności mordowanej przez ukraińskich szowinistów spod znaku OUN-UPA. Po aresztowaniu przez NKWD przemienił się w diametralnie innego człowieka. Na pewno zadrżała mu ręka, gdy podpisywał ten wniosek na odznaczenie swego oprawcy, a może w owej chwili był nieprzytomny, zamroczony alkoholem. Od powrotu z Moskwy stał się bowiem alkoholikiem. Zmarł w latach siedemdziesiątych. Tak przedstawiają się losy renegatów i zdrajców oraz ich ofiar. A dziś ten sowiecki agent, Czesław Rutkowski „Borowik” korzysta z praw kombatanta, legitymując się krzyżem Orderu *V.M.*

Gdy obecnie analizuję relacje moich kolegów – akowców ze Lwowa, którzy przeszli przez piekło śledztwa i więzienia w peerelowskim UB, dochodzę do przekonania, że miałem dużo szczęścia, iż zostałem aresztowany we Lwowie, a nie w Krakowie albo innym mieście w PRL, wydany przez tych samych zdrajców, ponieważ za te same oskarżenia władze PRL uśmierciłyby mnie. Uniknąłem tego upokorzenia od własnych rodaków-

renegatów, co było chyba najboleśniej dla aresztowanych, torturowanych i mordowanych w PRL akowców. Mogę stwierdzić bez najmniejszej wątpliwości, że od śmierci w PRL zostałem uratowany aresztowaniem przez NKWD.

Po aresztowaniach w czerwcu 1940 r. gen. Rowecki postanowił uporządkować organizację na terenie sowieckiej okupacji i w tym celu wysłał pod koniec października 1940 r. dwie ekipy. Jedną do Obszaru nr. 3 ZWZ z płk. Okulickim do Lwowa, a drugą do Obszaru nr 2 do Białegostoku z mjr Józefem Spychalskim. Obaj byli inwigilowani przez agentów NKWD. Gdy zostali uznani za niebezpiecznych, natychmiast ich aresztowano, mjr Spychalskiego w listopadzie a płk. Okulickiego w styczniu 1941 r. I tak wszyscy najcenniejsi i najdzielniejsi dowódcy wysłani na teren okupacji sowieckiej zostali aresztowani, gdy tylko zaczęli owocnie działać: najpierw gen. Tokarzewski i płk. Rudnicki już na przejściach granicznych, następnie płk. Pstrokoński z kpt. Mrożkiem i w końcu płk. Okulicki i mjr Spychalski. Tylko płk. Macieliński przetrwał na swym stanowisku do końca sowieckiej okupacji, a po wkroczeniu Niemców do Lwowa przygotowywał się do dalszego kontynuowania swej działalności pod okupacją niemiecką. Trudne warunki okupacyjne oraz oddalone Centralne dowództwo nie ułatwiały znalezienia konkretnych dowodów na podejrzanego konfidenta. Dopiero relacje wyżej wymienionych po zwolnieniu z więzienia i wstąpieniu do Armii gen. Andersa pozwoliły na wytoczenie procesu sądowego przeciwko podejrzanym konfidentom tj. Macielińskiemu, Goli i Metzgerowi.

W zakończeniu książki na str. 320 J. Węgierski pisze: „Sądzę, i do tego wydaje się upoważniać cała treść pracy, że płk. Macieliński nikogo i niczego nie zdradził, a więc akt oskarżenia i uzasadnienie wyroku były niesłuszne, natomiast pozostaje sprawą otwartą, czy nieświadomie, czy też świadomie, a wygodnie dla bezpieczeństwa swego i organizacji, ograniczał działalność do ram tolerowanych przez NKWD”. A więc złamanie przysięgi przez płk. Macielińskiego na skutek wyrażenia zgody na współpracę z NKWD, za którego zezwoleniem mógł pozostać na imponującym mu stanowisku, do którego nie dorastał, Komendanta ZWZ 1, ale pod ścisłą kontrolą NKWD – J. Węgierski nie uznaje za zdradę. U uporem godnym wyższej sprawy, J. Węgierski stara się w swej książce swoimi nieistotnymi tezami i twierdzeniami uniewinnić płk. Macielińskiego, a oskarżyć gen. Roweckiego i Sąd przy Komendzie Głównej ZWZ o stracenie niewinnego.

Prof. J. Węgierski jest godnym podziwu za włożony trud w zebranie tak olbrzymiego materiału, by wyciągnąć z niego wnioski o niewinności płk. Macielińskiego, o której jest przekonany. Ja natomiast pozostaję przy swojej tezie, jak również wielu moich kolegów, oczekując ewentualnej dyskusji.

Po przeczytaniu tej książki ogarnęło mnie uczucie wstydu, żalu i smutku. Koledzy, z którymi rozmawiałem na temat tej książki odczuli to samo.

Bronisław Szeremeta
oficer Okręgu Lwowskiego, NOW-AK ps. „Rys”

List do Wolnej Trybuny Czytelników

Co się dzieje na Wschodzie? Sytuacja, jaką stworzyli zachodni alianci odbiła się również nie tylko na kresowiakach lecz także na naszych zabytkach. Wiekowy dorobek naszej kultury, naszej zachodniej kultury, pada pod ciosami świadomego barbarzyństwa. Przykładów jest coraz więcej, do sprawców komunistycznych dołącza unicki kler. Nasze starania są nie tylko bezskuteczne ale są lekceważone. Trudno się zresztą dziwić, biorąc pod uwagę intelektualny przeciętny poziom kleru unickiego. Trudno jest go nie tylko przekonać, ale nawet się z nim porozumieć, gdy zamiast miłości, będącej podstawą nauki Chrystusa zionie nienawiścią. Nie mogąc obecnie wyżywać się w eksterminacji ludności polskiej niszczy z premedytacją ślady naszej wiekowej bytności. W „Myśli Polskiej” z 22 V br. p. Tadeusz Trajdos podaje szereg informacji o takiej działalności. Między innymi pisze o pomniku Dwernickiego w kościele Karmelitów Bosych we Lwowie, o „przeróbkach” wystroju ołtarzowego w kościele św. Elżbiety (rozebrano obudowę organów kniazini

Olgi i zrobiono z niej ikonostas), o niszczeniu epitafii, tarcz herbowych, o przebudowach zewnętrznych kościołów (Reformatów we Lwowie w Krystynopolu, Wicyniu, w Bartatowie) i o wielu innych dewastacjach, które to „przeróbki” jakoby mają świadczyć o pięciotysięcznym pobycie kulturalnym nacjonalistów ukraińskich na tych ziemiach. Niestety, w ten sposób nie da się przesunąć historii nawet o 100 lat.

Ale po tym nasuwa się pytanie — czy alianci podpisując układy ze Związkiem Radzieckim zastanowili się chociaż trochę nad tym, że granica kulturalna Europy przesuwana się automatycznie na zachód, a dorobek kultury łacińskiej przechodzi w ręce barbarzyńców... Wstyd dla zachodniej dyplomacji za zupełną ignorację w sprawach wschodnich!

R.Ed.



Kościół w Bartatowie

DANUTA TABIŃSKA-JUHASZ

Węgier, Polak dwa bratanki czyli my na Węgrzech

Gdyby ze wszystkimi sąsiadami Polski w ciągu jej dziejów stosunki polityczne, kulturalne i gospodarcze układały się tak jak z Węgrami — jakże inaczej wyglądałaby nasza historia. Ludność polska, najczęściej z wschodnich terenów w różnych okresach dziejowych emigrowała na Węgry za chlebem, wolnością, ratowała życie! Zawsze przyjaźnie i ze zrozumieniem przyjmowana przez Węgrów — Bratanków. Tego miana bodaj pierwszy, użył w swoim wierszu Or-Ot czyli Artur Oppman:

*Węgier, Polak dwa bratanki
Jak do szabli, tak do szklanki,
Obaj dzielni, obaj zwawi
Niech im Pan Bóg błogosławi.*

*Węgier, Polak zawsze razem
Skuci sercem i żelazem
Choć im ciężko, choć im twardo,
Przecie na świat patrzą hardo!*

Może ta wielowiekowa przyjaźń rozpoczęła się kiedy Adelajda siostra Mieszka, pierwszego historycznego władcy Polski, została żoną Gezy i matką św. Stefana (1038) pierwszego króla Węgier. Z dynastii Arpadów pochodził drugi kanonizowany król Węgier Szent László, czyli św. Władysław (+ 1095). Był pół-Węgrem, pół-Polakiem, gdyż matką jego była Piastówna Rycheza, córka naszego Mieszka II. A gdy błogosławiona Kinga, córka węgierskiego króla Beli IV, została żoną Piastowicza Bolesława Wstydliwego, na ziemię węgierską ruszyli pierwsi polscy osadnicy. Jej siostra Konstancja mieszkała we Lwowie, bo była żoną księcia Lwa, syna Daniela Halickiego.

Z wielką paradą przybyła w 1320 roku do Budy polska królowna Elżbieta Łokietówna, którą za żonę pojął węgierski Karol Robert z dynastii Andegawe-

nów. Ich synem był Ludwik I (1342-82). W roku 1338 na zjeździe królów w Wyszehradzie, król Polski Kazimierz Wielki wyznaczył w wypadku braku męskiego potomka, na swego następcę właśnie Ludwika Węgierskiego. Jego córka Jadwiga koronowana w Krakowie i poślubiona później Władysławowi Jagielle, zawitała w 1387 roku do Lwowa, serdecznie tam witana przez mieszczan lwowskich i bojarów jako „Pani i Dziedziczka”.

Z dynastii Jagiellonów 4 lata panował na Węgrzech Władysław Jagiellończyk, aż do swojej śmierci pod Warną w 1444 roku. Jego sekretarzem był znakomity humanista polski, Grzegorz z Sanoka, absolwent uniwersytetu w Rzymie i Bolonii, który po klęsce warneńskiej przebywał na dworze Jana Hunyadego, aż do objęcia w roku 1451 arcybiskupstwa lwowskiego.

Środowisko Polaków, rycerzy i uczonych było szczególnie liczne na dworze króla Macieja Korwina w Esztergomie. W latach 1448-1505 przebywał na nim królówiczy Zygmunt Jagiellończyk, później zwanym „Starym”. Pierwszą jego żoną była księżniczka węgierska Barbara Zapolyi, z którą miał córkę Izabellę. Druzgocąca klęska Węgier pod Mohaczem w 1526 roku, spowodowała, że większość terytorium węgierskiego znalazło się pod panowaniem tureckim. Idea walki o niepodległość znalazła najlepsze warunki w Siedmiogrodzie. Tutaj też w 1556 roku powróciła z Polski królowa Izabella, żona Janosa Zapolyi. Gościł ją Stefan Batory książę Siedmiogrodu, wybrany w 1575 roku na króla Polski. Wówczas to wraz z nim przybyło do Polski wielu Węgrów, dworzan i żołnierzy. Natomiast z bytnością Polaków na Węgrzech związany jest rozwój drukarstwa — np.: w Debreczynie drukarz Rafał Skrzetuski i jego syn Rudolf wydali w latach 1564-1586 około 60-ciu

pozycji, czyli prawie 1/3 dorobku edytorskiego na Węgrzech.

Po zwycięskiej wyprawie wiedeńskiej króla Jana Sobieskiego i rozgromieniu potęgi tureckiej w 1683 roku, rozpoczęła się wielka akcja kolonizacyjna na wyludnione tereny potureckie, w której uczestniczyli również Polacy osiedlając się w okolicach Miszkolca, Csorna, Orosztany. W początkach XVIII wieku powstała polska wieś Derenk, której osadnicy wywodzili się z powstańczych oddziałów księcia Franciszka Rakoczego, gdyż jego podporę zbrojną stanowiły siły polskie w liczbie około kilku tysięcy żołnierzy.

W czasie II wojny światowej w 1942 r. za czasów Horthyego, potomkowie ze wsi Derenk zostali przesiedleni do miejscowości Istranmajor, gdzie do dziś tworzą tradycyjną osadę polską.

Na Węgrzech w Isaszeg osiedliło się też około 70-ciu Polaków — uczestników konfederacji z 1734 roku popierających elekcję króla Stanisława Leszczyńskiego.

W roku 1768 w Eperyes, dziś Preszow znalazły swoją siedzibę władze Konfederacji Barskiej i tu stacjonowały ich oddziały pod wodzą Kazimierza Puławskiego.

Po utracie niepodległości — rozbiore Polski w 1795 r. Węgry często stawały się powstańczym zapleczem dla narodowych zrywów Polaków. Powstanie Listopadowe przyjęto na Węgrzech bardzo przychylnie, słynną mowę w obronie Polaków wygłosił w parlamencie węgierskim Lajos Kossuth przywódca powstania 1848 roku. Liczne też były wypadki przekradania się przez granicę młodzieży węgierskiej i jej udział po stronie polskiej. Za te dowody przyjaźni, Polacy podziękowali Węgrom w specjalnej odezwie „Polonia ad Hungaros” wydanej w Paryżu przez Komitet Narodowy i podpisanej przez Joachima Lelewela.

Natomiast rewolucja i powstanie węgierskie

w 1848-49 roku były popierane przez księcia Adama Czartoryskiego w Paryżu i przyczyniło się do masowego napływu Polaków do armii węgierskiej. Okres ten w dziejach obu narodów stanowi chlubną kartę historii. Wielotysięczne oddziały polskie walczyły wówczas u boku żołnierza węgierskiego „za wolność Waszą i naszą”. Na Węgrzech znaleźli się dawni wodzowie powstania Listopadowego, generałowie Henryk Dembiński i Józef Bem. Objął on dowództwo sił węgierskich w Siedmiogrodzie, a jego nazwisko przeszło do legendy historycznej na Węgrzech do czego przyczynił się adjutant generała, największy węgierski poeta Sandor Petöfi. W świadomości Węgrów do dziś żyją określenia „Bem apo” „czyli ojczulek Bem” — węgierski bohater narodowy. Generał Józef Wysocki uformował w Peszcie oddzielny legion polski liczący około 3000 ochotników.

Symbolem przyjaźni polsko-węgierskiej przypieczętowanej krwią, była egzekucja pułk. Mieczysława Woronieckiego dowódcy strzelców wyborowych straconego w 1849 roku przez Austriaków w Peszcie. Woroniecki krzyknął, „Bóg z tobą piękny świecie, umieram chętnie tylko niechaj Węgry zwyciężą!”

Przez cały burzliwy wiek osiedliła się na Węgrzech emigracja powstańcza polska (1794, 1830, 1863). Dużą sympatią cieszyła się szlachta polska i była przyjmowana w poczet szlachty węgierskiej np. Tarnorszky, Ostroviszky, Borovszky lub Scitorszky. Ten ostatni ród dał Węgrom nawet kardynała i prymasa. Była też moda na Polaków wżenających się w rodziny węgierskie. Byli nazywani „a mi lengyelüuk” co znaczyło nasz Polak. I tak została na Węgrzech wdzięczna pamięć po Polakach. Wyrazem czego było wsparcie społeczeństwa węgierskiego w czasie obu wojen światowych wielowiekowa przyjaźń węgiersko-polska zdała swój dziejowy egzamin.

POSZUKIWANIA

Kto z naszych czytelników wie coś bliższego o Europejskiej Organizacji Dawnych Kombatantów i o okolicznościach przyznania Odznaczenia Lwowa tytułem Bohaterskiego Miasta Semper Fidelis w Paryżu 22 września 1978 — prosimy powiadomić naszą redakcję.

* * *

Pani Urszula Płachcińska pragnie nawiązać kontakty ze starymi znajomymi ze Lwowa z ul. Kulparkowskiej. Mieszkała w pobliżu szpitala. Jest osobą samotną i odnowienie więzi lwowskich będzie dla niej dużą radością. Korespondencję proszę kierować: Urszula Płachcińska 67-120 Koźuchów, ul. 22 Lipca 18/15.

* * *

Anatol Nadtoczy z Czerkasów poszukuje Tadeusza Wolskiego ur. w Kijowie, absolwenta Szkoły Morskiej w Astrachaniu, komandora marynarki WP. Matka poszukiwanego — Franciszka, siostry Alicja i Stefania oraz brat Bolesław pochowani zostali na cmentarzu Bajkowym w Kijowie.

Wiadomości prosimy kierować do Lwa Chmelkowskiego, 257 000 Czerkasy, ul. B. Wysznowickiego 35/1, TV Radio Ukraina.

Pan Adam Pobóg-Spalski poszukuje Tadeusza Dyduzińskiego który mieszkał we Lwowie przy ul. Kadeckiej 5 lub 6, oraz jego rodziny mieszkającej w Samborze.

Nasz czytelnik z Sycowa pisze:

Lwów mnie chował, Lwów mnie kształcił. Byłem absolwentem 11 Gimnazjum Matematyczno-Przyrodniczego przy ul. Lwowskich Dzieci — róg Szymonowiczów. Prof. geograf Rudolf Wacek mój opiekun klasy, sportowiec, myśliwy, turysta. Wyszedłem spod jego ręki. Byłem członkiem II druż. „Pogoń” Lwów, członkiem „Macierzy” Łyczaków. Znam Lwów jak własną kieszeń. Urodziłem się w powiecie stryjskim, a chowałem się we Lwowie, z chłopakami profesora matematyki Bazylego Chodowickiego mój rodak z Dzieduszyck Małych.

Obecnie jestem emerytem PKP liczę już sobie 86 lat, ale Lwów śni mi się często — bo go kocham. Niestety, ale podpis naszego Czytelnika u Sycowa jest nieczytelny.

Jubileuszowe spotkanie lwowskich harcerzy

W dniach 28 i 29 maja 1994 r. odbył się w Krakowie Zjazd Harcerskiego Kręgu Obrońców Lwowa 1939-1945. Był to już piąty kolejny zjazd. Pierwszy odbył się w 1990 roku w Częstochowie z inicjatywy czterech Druhów, mieszkańców Częstochowy: Sławomira Wilka, Zygmunta Jaworskiego, Józefa Dźwigalskiego i Gustawa Butryma, którzy zdołali odszukać 18 byłych żołnierzy I Ochotniczej Harcerskiej Kompanii Obozowej Lwowa z września 1939. Drugi zjazd odbył się już w nieco liczniejszym gronie w 1991 r. też w Częstochowie. W trzecim w Sobótce k/Wrocławia uczestniczyli już nie tylko członkowie wymienionej Harcerskiej Kompanii, ale i uczestnicy walk z innych jednostek. Czwarty zjazd odbył się w Krakowie i uczestniczyli w nim także ci, którzy brali udział w akcji „Burza” w 1944 roku.

Na V jubileuszowy zjazd zaproszono już 52 członków Kręgu. Obecnych było niestety mniej – tylko 22. Wielu przysłało tylko życzenia i usprawiedliwienia. Wiek i niełatwe przeżycia zrobiły swoje.

V Zjazd został pomyślany jako jubileuszowy, na 55-lecie walk kompanii. Przygotowany został i przeprowadzony uroczystie przez Druhów z obecnego Zarządu Kręgu: Stanisława Podusowskiego, Zbigniewa Nartowskiego, Bolesława Zbierzchowskiego i Tadeusza Zachariasiewicza, przy wybitnej pomocy Krakowskiej Komendy Chorągwi ZHP i licznych ludzi dobrej woli.

Spotkanie inauguracyjne oraz wykład historyka dr. A. Sowy o obronie Lwowa w 1939 roku odbyło się

w sali Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego. Bardzo interesujące i sympatyczne było popołudniowe spotkanie starych harcerskich weteranów z młodymi instruktorami harcerskimi ZHP w siedzibie Hufca Kraków – Krowodrza. Ciekawe gawędy, dyskusje przy ognisku, wymiana myśli i doświadczeń, ale też i wesołe harcerskie śpiewy. Spotkanie poprowadził bardzo sprawnie druh Tadeusz Gawel z Krakowskiej Komendy Chorągwi ZHP.

W scenerii ogniska dwaj harcerscy weterani Józef Ożegalski i Zdzisław Tarkowski zostali udekorowani Krzyżami Obrony Lwowa 1939-1945. Dekoracji dokonali dwaj członkowie Kapituły tego Krzyża: Zdzisław Ojrzynski i Jan Sura.

W dniu następnym, w niedzielę, po uroczystej mszy św. w harcerskim kościółku Św. Idziego, uczestnicy zwiedzali Wawel i złożyli kwiaty na sarkofagach Marszałka Józefa Piłsudskiego i Generała Władysława Sikorskiego.

Po wspólnym uroczystym obiedzie, ufundowanym przez krakowskich sponsorów – Przyjaciół Kręgu, na spotkaniu zorganizowanym w Klubie Adwokackim omówiono sprawy organizacyjne. Między innymi organizację sekretariatu Kręgu. Aprobowano działalność Zarządu, podziękowano za dobre przygotowanie Zjazdu, a także Feliksowi Całemu za zorganizowanie i wydanie trzech tomów wspomnień harcerzy – obrońców Lwowa 1939-45 pt. *Od lat najmłodszych do późnej siwizny* i przekazano koordynację dalszych działań wspomnieniowo-wydawniczych w ręce druha Remigiusza Węgrzynowicza. Ustalono, że za rok, w maju, VI Zjazd odbędzie się też w Krakowie.

Feliks Cały

Rzecz o lwowskim honorze

W antologii poezji o Lwowie „Serce z piersi wydarte” w aneksie zamieszczone są notki biograficzne o autorach. Według informacji uzyskanej w wydawnictwie – autorzy poezji współczesnej własne notki biograficzne (co jest zrozumiałe) – redagowali sami. I oto na stronie 344 czytamy, jak niesyt poetyckiej sławy autor dwóch wierszy – pan Bogdan Kasprówicz pisze o sobie, że jest (cytujemy): „autorem programów artystycznych o tematyce lwowskiej w kabarecie „Pacalycha”. Jest to kłamstwo; – pan Kasprówicz nigdy nie był autorem żadnego programu

dla „Pacalychy”. Programy te pisze Danuta Skalska, teksty piosenek – Ryszard Gerliński.

Wobec tego, że autorki programów nie ma w kraju i sama bronić się nie może, a kłamstwo poszło w świat w wielotysięcznym nakładzie – domagamy się od pana Kasprówicza stosownego sprostowania w wydawnictwie i dołączenia erraty do wspomnianej publikacji. Ponieważ nie pierwszy to przypadek, że pan Bogdan Kasprówicz postępuje niehonorowo wobec „Pacalychy” – zespół dedykuje mu słowa Jerzego Michotki o lwowskim honorze: „Jeśli okłamiesz, oszukasz, to ci żaden szanujący się batiar ręki nie poda.”

Członkowie kabaretu „Pacalychy”

[Handwritten signatures and notes at the bottom of the page, including names like Bogdan Kasprówicz, Feliks Cały, and others.]

W sanatorium



JÓŻKU: Serwus Mańku! Dawnum ciebi ni widział.
Ali co tu? Ty masz nogi w gipsi?

MAŃKU: Właśni wróciłem zy sanatorium.

JÓŻKU: Ta chiba zy szpitala!

MAŃKU: Ni, zy sanatorium. Ja si na samym końcu
poślizgnął jagim wyłaził z wanny i złamał
nogi w kostcy.

JÓŻKU: A na cu tobi ogóli byłu sanatorium?

MAŃKU: A kapujesz co to jezd rymatyzm? Ud tegu
bolu wszystki gnaty. Ja na tu churował już
w Szczecini, a ży tam był klimat mokry, tu
ja si przypruwadził du Wrocławia.

JÓŻKU: A uo, masz! Ta to tak, jakby z deszczu
pud rynny!

MAŃKU: Nu włśni. Dlategu pan dochtór bałakał,
ży jak si ni bedy kurował tu zanidługu
mogi o kulach chodzić.

JÓŻKU: Ta przestań z takim ukropnym krakanim.
Czy to jednegu kustumachi bolu, ud tegu
si nie kituji.

MAŃKU: Moży si nie kituji, ali pan dochtór si upar
o tu sanatorium — ży lepij zawczasu, tu co
ja miał robić? A jak jeszcze wyklarował mi,
ży za frajir, tu ja si wiency ni namyślał.

JÓŻKU: Ta pewni, jak za frajir tu i ja by pujechał.
A dzie ty był?

MAŃKU: Tam dzie dali — w Londku Zdroju.

JÓŻKU: A tyn Londyk, to cuś wart?

MAŃKU: Jo, to bardzu znany uzdruwisku na świeci.

JÓŻKU: Co ty mówiesz, ja ni wiedział.

MAŃKU: Ja tyż dopotund ni wiedział, ali była tam
taka panienka ud spraw kulturowych
i miała z nami różny pugađanki, tyż u Lo-
ndku. Tu ja usłaszał, ży du Londka nie
byli jaki funiasty figury przyjiżdźali — róż-
ny artysty, puety, dygnitarzy, nu ogóli
samy łyty.

JÓŻKU: Nu, nu, a spamientał ty moży znacznie-
szych?

MAŃKU: Ni uwierzysz jak ci powim, ży nawyt król
pruski Fryderyk, a takży car ruski Alek-
sandr.

JÓŻKU: A w tym sanatorium jaki byli pumiesz-
kania? Tyż taki królewski?

MAŃKU: E, co to, to ni zabardzu. Ludzi jak mogli
tak upychali, pu kilku w pokojach. Ja si
najsampirw cieszył, ży dustałem dwójki
z jednym paniskim. Ali ja si krótku cieszył.

JÓŻKU: Ta zadlaczegu?

MAŃKU: Bu tyn panisku tak w nocy chrapał, że ja
ucik.

JÓŻKU: Dzie? Du odraz domu?

MAŃKU: Ta ni du domu, ali du sali z tyliwizorem.
Tam w nocy byłu cichu i ja si wyciongnuł

na takim mientkim dywani pud palmu
i kimał.

JÓŻKU: I nicht tegu ni odkrył?

MAŃKU: Ranu udkryła sprzuntaczka i z wielgim
krzykim „Pani dochtór! Chtoś umar!”
— puliciała du kancylarii.

JÓŻKU: Ali pacałycha, niech ci kaczka kopni! I co
oni zrubili?

MAŃKU: Jak ja im grzeczni wyklarował o co si
rozchodzi, przenieśli mnie do innego pu-
koju.

JÓŻKU: Nu i co?

MAŃKU: Nu i ukazału si, ży ja tyż chrapim. Ali moji
nowy kulegi puwiedzieli, ży im to ganc
pumada.

JÓŻKU: Aliś im namiszał na puczontyk ni mału!

MAŃKU: To ni konic jeszcze, bu ja tagży miał
kłopot z fryganim.

JÓŻKU: Nidobry byłu?

MAŃKU: Dobry. Ali mnie na puczontku pusppytali
cza ja chce zwykły jidzeni, czy dyjete, tu ja
powiedział ży dyjete.

JÓŻKU: Czemu włściwi?

MAŃKU: Ja myślał, ży dyjeta to zawdy lepszy ud
zwykłego jidzenia. Ali jak mi przez trzy dni
zasuwali tylku gutuwany ryby, kaszy z ma-
słym i ryż na słodku, tu ja si znerwował.

JÓŻKU: A co inni frygali?

MAŃKU: Bigosy, łazanki, kilbasy, sznycli — to
wszystku co lubim.

JÓŻKU: Aliś si kiwnu! I ty tak du końca wciskał
taki packi dla miglancy?

MAŃKU: Ta dzie! Jaby wykitował od takij hamuli-
ny. Załatwiłem to zy szefowu kuchni, prze-
sądziła mnie do innego stołu i konic. A ja
jij za tu kupił czykuladki.

JÓŻKU: To fajnu. Upowidz tera, jak tam ciebi
kurowali?

MAŃKU: Byli tam różny kuracji: na mokru, na
suchu i du środka.

JÓŻKU: Nic ni kapuji.

MAŃKU: Nu tu ja ci najsampirw upowim jak byłu
na mokru. Ja nawyt nie miał dupotund
pojęcia ży są takie kuracji. Musiałym
wydać szwajnery na szwimki du pływania
i na czepyk gumowy.

JÓŻKU: Ta na cu czepyk?

MAŃKU: Nu na głowy. Zapisali mnie na basyn
z ciepłu wodu minaralnu. Ja tam chodził
z innymi na gołu pływać a szwimki kupi-
łym niputrzebni.

JÓŻKU: Bez szwimyk, z kubitami tyż?

MAŃKU: Ta dzie! Co to ja dziki, stydu ni mam, czy
co? Z kubitami tu ja chodził na gimnastyki

i jeszcze musiał kupić du tego spudenki gimnastyczny.

JÓŹKU: Nu i co ty jeszcze dustawał na mokru?

MAŃKU: Chudziłem du wanny na kompieli perełkiwy.

JÓŹKU: Ładni si nazywa, a co to takiego?

MAŃKU: Leżysz sy wy wanni, a ciepła woda od dołu bulka.

JÓŹKU: Niby w jaki sposób, bu ja ni myśli, ży ty tak sam zy siebi!?

MAŃKU: Jóźku, ty mnie chiba z durnoty ubrażasz. Ta w takij wanni na spodzi są taki rury z dziurami, bez chtóry biji silny puwietrzy i wtedy woda bulka.

JÓŹKU: I nicht tych dziurawych rur ni naprawi?

MAŃKU: Ali to tak specyjalni, to taki dylikatny masaż na ciału, ud niegu robi si człowiekowi wysołu i przyjemni, o tak uo jakby ci chto gilgał.

JÓŹKU: Chiba konic kuracji na mokru?

MAŃKU: Ali uo! Byli jeszcze jedny straszny, ja ich nie móg strzymać. Biczny wodny!

JÓŹKU: Biczowali ciebi?!

MAŃKU: I to jeszcze jak! Bez litości nijakij z takiegu szłałchu raz zimnu raz gurońcu wodu na zmiany.

JÓŹKU: Matku Boska! Niby na cu to?

MAŃKU: Dokór bałakał, ży na nerwy. Ale ja si właśni z tego jeszcze wiency znerwuwany i przestał pu cichu na tu chodźć.

JÓŹKU: Tu dobrzy ty zrobił, bu ud tego ty móg jeszcze skończyć na Kulparkowi.

MAŃKU: Tu ja ci tera upowim o kuracjach na suchu. Zapisali mnie na masaż plecy i gimnastyki.

JÓŹKU: O, to si pudoba.

MAŃKU: Gimnastykuwani w towarzystwi były całkim przyjemny ali masażysta mało mi kryżbantów ni pułamał.

JÓŹKU: Znencał si nad tobu!

MAŃKU: Chiba tak. Ja myśli, ży un pewni wolał masować baby bu nie narzykały.

JÓŹKU: Cali si ni dziwi, ja by tyż wolał.

MAŃKU: Ali tak pud hajrym, tu pu jakimś czasie gnaty mniej skrzypieli.

JÓŹKU: A ty jeszcze cuś bałał ą o kurowaniu ud środka. To pewni rozchodzi u lekarstwa?

MAŃKU: Ta dzie tam. Ja musiał pić taki różny cuchnoncy wody i du tego na ciepłu, na leczeni żułondka.

JÓŹKU: Ta ty był w jakimś ubozi dla menczeników a ni w sanatorium. A z innym rubili to samu?

MAŃKU: Jeszczy gorzyj! Lali na nich gurońcu parafiny i podłanczali du prondu!

JÓŹKU: Ta to istny tortury! Nicht ud tego nie wykitował.

MAŃKU: Ni wykitował, nie wykitował. Jeszczy si dobrzy bawili i chodzili na wieczorki tanećny.

JÓŹKU: E, ja ni uwierzy, ży ty chodźć na tańcy.

MAŃKU: Pu wieczorku zapuznawczym jużem wiency ni chodźć.

JÓŹKU: A to zadlaczegu?

MAŃKU: Ja poszyd tylku z grzeczności i usiad zy swymi kuligami z pukoju, ali baby odra porwały nas du tańca.

JÓŹKU: Pewni ty si nawyt ucieszył?

MAŃKU: Ta dzie! Ty myślisz, ży tera tańcu Polki, oberki abu moży walczyka. Tera tańcy są dziki. Podeszła do mnie młoda panienka i odraz pyta: „Lubi pan lambade?”

JÓŹKU: A co tu takiego — lody czy co?

MAŃKU: Taki tanic z biudrami, ali ja ni wiedział — tu bałakam, ży lubim. Nu i zaczęło si, by ją pokreńciło! Ja mału kupyta nie wyciongnuł, siódmy poty mnie obleli, du tego straszni głośna muzyka i kulurowy światła bijoncy pu oczach — nu konic świata!

JÓŹKU: Ali ci dała bobu, ha! ha! ha!

MAŃKU: Oj dała. Ja skurzystał z cimmności (bu tera tańczy si na pućmaka), nawiał i chiby życi uratował.

JÓŹKU: A ona co?

MAŃKU: Ja si od nij późnij odczepić nie móg. Wszeńdzi za mną biegała, i do pukoju tyż, niby pu ksionżki.

JÓŹKU: Tys i powinin cieszyć, ży chociaż na staruśc masz taki powudzeni u bab, bo jak spomny, gdy byleś młody, to tylku Karolcia ciebi chciała!

MAŃKU: A ni prawda, prawda, ni tylku Karolcia. Na mni zawszy baby lecieli jak muchi na lep. Cały szczeńści, ży ja na końcu te nogi złamał, bu inaczy ta dziunia chiba by mnie pud ołtarz zaprowadziła! A tak z nogu w gipsi to ni pasuwała.

JÓŹKU: Ha! ha! ha! Widzy Mańku, ży ty fest pietra dostał!

MAŃKU: Ta pewni. Mnie tak dobrzy jak jest, ni putrzybujni żadny baby. Masz gust na hirbaty? Tu nastaw czajnik, bu mi z tą nogu cienżko.

JÓŹKU: O, listonusz coś rzucił du skrzynki. Wyjuńć?

MAŃKU: Aha, pukikuj ud kogu to?

JÓŹKU: Ładna pucztówka z kwiatkim, zara wezny binokli — pudpisany Jola!

MAŃKU: Matku Boska! To ona! Skond wzięła mój adrys?!

JÓŹKU: Piszy tak: „Nigdy ni zapomny tych chwil cośmy razym przeżyli. W punidziałyk przyjeżdżam do ciebi. Całuj gurońcu! Jola.”

MAŃKU: Jóźku! Mój przyjacielu! Ty mnie nie zostawisz na pużarci tyj baby! Ja si du ciebi na tydzień przeprowadzam, a na drzwiach moich napiszemy: „Lukator wyjechał”.

JÓŹKU: Akurat wyjechał. Nawiał, aż si kurzyłu! Ali pakujmy si, trudna rada.

MAŃKU: Prendzy, prendzy! A nuż ji przyjdzi du głowy wcześniejszy pociung!

Z ŻYCIA TOWARZYSTWA

W okresie od 16 do 30 czerwca na zaproszenie Klubu Nauczycielskiego przy Oddziale Wrocławskim TMS przyjechało dwadzieścioro polskich dzieci ze Sambora. Chłopcy i dziewczęta, przeciętnie w wieku 12 lat (VI klasa szkoły podstawowej) przyjechały pod opieką pani Ireny Burdak, nauczycielki ze szkoły w Samborze, oraz pani Janiny Badowskiej, z zawodu pielęgniarki.

Zasadniczym celem akcji „Wrocław – Samborowi” było z początku przygotowanie dzieci do utworzenia dziecięcego zespołu pieśni i tańca. Mimo woli, a raczej z chęci możliwie największego urozmaicenia pobytu samborskich dzieci, co wpływało z potrzeby serc organizatorów – zajęcia taneczne i muzyczne w MDK przy ulicy Kopernika zostały cokolwiek ograniczone na rzecz szerokiego udziału dzieci w licznych imprezach kulturowych i turystyce na terenie Wrocławia i Dolnego Śląska. We Wrocławiu dzieci zwiedziły Ogród Botaniczny i Zoologiczny, Muzeum Przyrodnicze, Panoramę Raclawicką, odbyły przejażdżkę stateczkiem po Odrze, wzięły udział w spektaklach Opery i Operetki Wrocławskiej oraz w finale dziecięcego turnieju tańców towarzyskich. Poza Wrocławiem były na wycieczce w Trzebnicy i uzdrowiskach Kotliny Kłodzkiej, łącznie ze zwiedzeniem Jaskini Niedźwiedziej w Kletnie. Należy nadmienić, że wszystkie występy były udzielone przez wymienione instytucje bezpłatnie. Szczególnie ciepłe i interesujące było przyjęcie dzieci w Trzebnicy, zorganizowane przez władze kościelne i zakonne, szkołę Podstawową nr 1 imienia świętej Jadwigi i Towarzystwo Miłośników Ziemi Trzebnickiej. Oprócz zwiedzenia bazyliki ugoszczono dzieci śniadaniem i obdarowano upominkami.

Liczne były spotkania dzieci organizowane przez Oddział Wrocławski i kluby TML-u. Wyjątkowo piękne było spotkanie towarzyskie w Klubie Muzyki

i Literatury u pana Stefana Placka, gdzie odbył się specjalnie dla nich przygotowany koncert przez panią Annę Damm. Tutaj też uzdolnione dzieci samborskie z ujmującą prostotą i wdziękiem przedstawiły swój własny program artystyczny (wiersze, piosenki, koncert fortepianowy). Pani Zofia Puchała, kierowniczka „Lwowskiego Zespołu „Ferajna” w imieniu Oddziału Wrocławskiego wręczyła dzieciom komplety strojów do tańców ludowych dla 8-miu par tanecznych. Również piękne spotkanie zorganizował klub „Leopolis” z udziałem państwa H. i W. Dzieduszyckich, na którym to spotkaniu dzieci samborskie prezentowały już poloneza, którego nauczyły się w czasie pobytu we Wrocławiu.

Żywą opieką otoczyły dzieci nauczycielki szkoły przyszpitalnej Szpitala Dziecięcego im. Janusza Korczaka, gdzie w trosce o zdrowie dzieci przeprowadzono również kompleksowe ich przebadanie.

Lista instytucji i darczyńców pozwalająca sfinansować pobyt dzieci w Polsce jest bardzo długa. Głównej pomocy udzieliły: Kuratorium Oświaty we Wrocławiu, Oddział Wrocławski TML, Fundacja „Semper Fidelis”, Klub „Leopolis” (w oparciu o dotacje takich instytucji jak Przed. Spedycyjne Transportu „Vector-Unin” z Gliwic i Biuro Techniczno-Handlowe Schiell z Katowic), Komisja „Solidarności” przy Uniwersytecie Wrocławskim, Lwowski Chór „Harfa”, i wiele innych.

Ponadto indywidualnie szereg osób pracą, sercem i materialnie wspierało pobyt dzieci. Główne laury jednak należą się pani Krystynie Karbownik, prezesce Klubu Nauczycielskiego, która dzięki swojemu talentowi organizacyjnemu i oddaniu całym sercem sprawie opieki nad polskimi dziećmi na Ukrainie – zasługuje na największe słowa uznania i podziękowania.

Maria Sawicka

Z życia Klubu TML i KPW w Świdwinie – Oddział Koszalin

Mieszkańcy Świdwina, a rodem ze Lwowa i okolic, na wieść o utworzeniu Oddziału TML w Koszalinie w 1989 r. stali się jego członkami. Byli to: Waleria Makro, Krystyna Dereń, Antonina Socha, Zofia i Tadeusz Krukowscy, Adam Malinka, Józef Szydłowski. Jednak z uwagi na uciążliwość dojazdu (70 km) i koszty Adam Malinka zainicjował utworzenie Klubu TML w Świdwinie.

W dniu 19 września 1990 r. odbyło się zebranie założycielskie, na które oprócz wymienionych przybyło 11 osób. Po złożeniu deklaracji członkowskich na zebraniu, które prowadził prezes Oddziału Koszalin p. Ryszard Adel, podjęto decyzję utworzenia Klubu, a na prezesa wybrano pana Mieczysława Kostura.

Początki były trudne, lecz klub starał się pracować aktywnie. Na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym 15 lutego 1993 r. prezes O/Koszalin dobrze ocenił

działalność Klubu. Wybrano Zarząd w składzie: prezes – Mieczysław Kostur, sekretarz – Adam Malinka, skarbnik – Kazimierz Sztura.

Klub organizuje zebrania co trzeci poniedziałek miesiąca i aktywnie realizuje swoje zadania statutowe.

Do najbardziej udanych zrealizowanych przedsięwzięć zaliczyć należy:

- zorganizowanie wraz z Biblioteką Miejską i Klubem Garnizonowym zbiórki książek dla szkoły polskiej we Lwowie. Zebrano ponad 300 tytułów i w maju 1992 r. przekazano do ZG TKPZL za pośrednictwem Pana Bogusława Seńczuka z Wrocławia. ZG TKPZL książki przekazał dla Polaków w Szczercu k. Lwowa;
- spotkanie towarzyskie z panem Michałem Osiadaczem w Świdwinie i z panem Jerzym Michotkiem w Koszalinie;
- zorganizowanie przez biuro p. B. Seńczuka dwóch wycieczek do Lwowa dla członków Klubu i ich rodzin. W czasie ostatniej, w sierpniu 1993 r.,

członkowie spotkali się w ZG TKPZL z jego prezesem p. Stanisławem Czerkasem i członkami Zarządu;

- wyjazd autokarem do Teatru w Koszalinie, na spektakl Wojciecha Dzieduszyckiego pt. „Tylko we Lwowie”;
- spotkania przy ognisku z piosenką lwowską;
- szczególnie uroczysty charakter miały spotkania z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy. W grudniu 1993 r. na spotkanie z okazji Świąt Bożego Narodzenia gościli: v-ce prezes Oddziału z Koszalina p. Tadeusz Zawadzki i sekretarz p. Halina Bogucka oraz Zespół Śpiewaczy „Leszczyna” z Pęczeryna;
- na zebraniach wyświetlane są też filmy o tematyce lwowskiej i kresowej;
- tradycją już się stały towarzyskie spotkania lwowiaków i wilniaków przy współudziale Świdwińskiego Ośrodka Kultury, Zespołu „Leszczyna” i Zespołu Recytatorskiego Zespołu Szkół w Świdwinie. Na ostatnim spotkaniu 19.03.1994 r. „Imieniny Józka Lwowiaka” przybyli licznie członkowie

obu klubów z rodzinami. Władze miasta reprezentował z-ca przew. Rady Miejskiej p. Jan Szoldra. Gromkimi oklaskami dziękowaliśmy zespołom za recytacje, wiersze, piosenki lwowskie wileńskie i ludowe. Wszystkim Józiom i Józefom wręczono lwowskie laurki z życzeniami i odśpiewano sto lat;

- z zainteresowaniem oglądano wystawę wydawnictw pt. „Lwów – Wilno – Kresy” i kroniki obu towarzystw. Pani Janina Musiałowska, członkini TMW i KW, prezentowała swoje prace haftu artystycznego. Przeprowadzono zbiórkę pieniędzy na „Pomoc Wielkanocną dla Lwowa”. Zebrano 350 000 zł, które przekazano na konto Fundacji Kresowej „Semper Fidelis” we Wrocławiu;

Należy również wspomnieć że zespół „Leszczyna” z Pęczeryna, gm. Brzeźno od 3 lat w swym programie piosenek ludowych śpiewa piosenki lwowskie i wileńskie, które propaguje w naszym regionie.

Tą drogą serdecznie dziękujemy zespołowi, którego kierownikiem jest członek naszego Klubu p. Mieczysław Gajewski.

Prezes Klubu – mgr Mieczysław Kostur

Poniższa informacja rozpoczyna, mamy nadzieję, serię podobnych prezentacji poświęconych kolejno organizacjom kresowym różnych regionów lub skupisk polskich z Kresów Południowo-Wschodnich.

Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej (SPZD).

Stowarzyszenie powołano na I Zjeździe drohobyczan (dołnośląskich) 6 maja 1989 r. w Legnicy i do dziś tam mieści się jego siedziba. Początkowo nosiło nazwę Stowarzyszenie Przyjaciół Drohobycza. Działa w oparciu o statut precyzujący cele i zasady organizacyjne i jest zarejestrowane w Sądzie Wojewódzkim w Legnicy. Ma krajowy zasięg działania, osobowość prawną i konto bankowe. Integruje byłych i obecnych mieszkańców Ziemi Drohobyckiej (powiatu drohobyckiego) na polu społeczno-kulturalnym w aspekcie odrodzenia narodowego. Wspiera moralnie i materialnie środowiska polskie i wspólnoty parafialne na tej Ziemi. Koła terenowe SPZD organizują imprezy okolicznościowe, systematyczne spotkania rodaków, zazwyczaj comiesięczne, rozwijają własne inicjatywy i patronują wybranym środowiskom polskim skupiającym się wokół oddziałów To-



Święta obchodzimy uroczystie

warzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej (TKPZL).

Zarząd Główny organizuje działalność całego Stowarzyszenia oraz współpracę z organizacjami kresowymi w kraju i za granicą. Prowadzi sekcję członków – korespondentów i członków honorowych z kraju i z zagranicy. Należą do nich m.in. Tadeusz Chciuk-Celt, Władysław Ossowski (sławny biały kurier) Janina Diug.Pilichowska, Czesław Bulkiewicz, Alfred Schrajer i Adam Chłopek. Wydaje też Biuletyn SPZD, dotychczas 7 numerów.

Komisja Historyczna przy ZG zajmuje się odtwarzaniem historii Ziemi Drohobyckiej i losów jej mieszkańców, gromadzi archiwalia i pamiątki oraz literaturę. Prowadzi centralny rejestr adresowo.biograficzny rodaków (już ok. 5000 kart) i współpracuje z odpowiednimi placówkami naukowymi, historycznymi i archiwalnymi. Wspiera kolportaż publikacji interesujących członków SPZD. Ważniejsze z dotychczasowych prac Komisji to: „Ofiary 1939-1945” (wykazy represjonowanych w czasie II wojny), „Księga Pamięci Ziemi Drohobyckiej” (spisy śmiertelnych ofiar walk i represji), zestawienie drohobyczanów (literatura o Ziemi Drohobyckiej), informator o losach profesorów i najstarszych roczników (w 1939 r.) gimnazjum „Jagielly” w Drohobyczu, monografie geograficzne ulic Drohobycza, Tyśmienicy, „Polminu” i itp.

Dotychczasowe ważniejsze działania Kół terenowych i Zarządu.

Legnica: przyjęcie artystycznego zespołu młodzieżowego „Odrodzenie” (1991), wystawa pełnego cyklu historycznych obrazów F. Lachowicza i pamiątek drohobyckich (1993).

Wałbrzych: wystawa B. Schulza i pamiątek drohobyckich (1992), przyjęcie dzieci borysławskich (1992), wyjazdy charytatywne autobusowe do Borysławia

(1993 i 1994), ciekawe wieczory wspomnieniowo-artystyczne.

Warszawa: przyjęcie zespołu „Odrodzenie” (1992), współpraca z PHZ Polservice, ZH Elektrim i Wspólnotą Polską w pomocy remontowej dla kościoła św. Bartłomieja i w kształceniu nauczycieli dla polskich szkół na Ukrainie.

Wrocław: wycieczka autobusowa do Drohobycza (1990), wieczór B. Schulza (1991), wystawa prac Lachowicza (1991), przyjęcie zespołu „Odrodzenie” (1994).

Zarząd Główny: organizacja zjazdów SPZD (maj i lipiec 1989, czerwiec, 1992), historycznej pielgrzymki na 600-lecie kościoła w Drohobyczu (1992) oraz pomocy finansowej na jego remont i dla ubogich rodaków, przygotowanie Tablicy Pamięci Ziemi Drohobyckiej (ofiarom 1939-1945) i jej odsłonięcia w kościele (1993).

Adresy kontaktowe:

Prezes SPZD Roman -43Lorenz, 59 220 Legnica, M. Rataja 2/6 kl. B m 11, tel. 229-85, 652-01.

Przewodniczący kół terenowych:

- Jerzy Świerczek, 43 300 Bielsko-Biała, Kwiatowa 12, tel. 263-03.
- Tadeusz Wodas, 59 700 Bolesławiec, Robotnicza 13a, tel. 32-36 w. 87.

— Adam Urbanowicz 59 220 Legnica, Drukarska 8/6, tel. 541-156.

— Mieczysław Najda, 589 300 Wałbrzych, Wrocławska 128/1, tel. 782-13.

— Franciszek Iwanicki, 01 202 Warszawa, Jaktorowska 2/25, tel. 132-81-75.

— Adam Czupkiewicz, 52 236 Wrocław, Grabiszyńska 307/7, tel. 631-247.

Komisja Historyczna — Jerzy Pilecki, 53-338 Wrocław, Wielka 31/14, tel. 672-652.

Przewodniczący Oddziałów ZKP ZL:

— Maria Galas 293 720 Drohobycz, Borysławska 43/32, tel. 219-49.

— Halina Klancko 293 760 Borysław, R. Szuchewicza 10/2, tel. 524-84.

— Eugeniusz Dąbrowski 2933 780 Truskawiec, I. Mazepy 38/56, tel. 501-57 (wiceprzew.).

Z Kolem SPZD we Wrocławiu i z Komisją Historyczną systematycznie współpracuje niestrudzony organizator Drohobyczan w Polsce i animator wielu działań dla Ziemi Drohobyckiej O. Dominik Marian Orczykowski OFM, Kapucyn. Niezależnie od SPZD funkcjonują grupy niestowarzyszonych drohobyczan w Krakowie (lider Marian Lurski) i w Opolu (Krzysztof Werner).

OD WYDAWCY

— Spotkania na II-gim Światowym Forum Prasy Polonijnej w Tarnowie w dniach 5-10 VI 94 przyczyniły się nie tylko do promocji naszego pisma S.F. na 23 kraje — uczestniczące w Forum, ale zaowocowały konkretnymi działaniami. W wyniku porozumienia z przedstawicielami redakcji z Kijowa „Dziennika Kijowskiego” będziemy jako jedyni w Polsce rozprowadzać ten miesięcznik wśród naszych Czytelników. Po Gazecie Lwowskiej jest to drugie polskojęzyczne pismo na Ukrainie. Ma ambicje być kontynuatorem „Dziennika Kijowskiego”, który wychodził w Kijowie od 1906 roku aż do rewolucji. Wydaje go Związek Polaków i jest finansowany przez rząd Ukrainy. Dotarły już do nas pierwsze egzemplarze Dziennika nr 11 i nr 12. Cieszyły się powodzeniem na Zjeździe Prezesów w Bydgoszczy w dn. 25-26 VI br. oraz na V Pielgrzymce Kresowiaków w Częstochowie 2 i 3 VII br. Dla naszych Oddz. i Klubów TML i KPW niewielkie ilości Dziennika dołączymy do paczek z Semper Fidelis. Dla pozostałych Czytelników ogłaszamy prenumeratę na II-gą połowę roku tj. 6 egz. (miesięcznik). Prenumerata będzie wynosić 60 000 zł.

— Przypominamy również, że przyjmujemy na II-półrocze prenumeratę na Gazetę Lwowską — dwutygodnik w wys. 70 000 zł.

— Jednocześnie zachęcamy nasze Oddz. i Kluby by w ramach „siatki pomocy” opłacały prenumeraty z przeznaczeniem dla Polaków na Wschodzie.

— Niezapominajmy również o wpłatach na półroczną prenumeratę na nasz 2-miesięcznik S.F. która wynosi 60 000 zł

— Wszystkie wpłaty na wyżej wymienione pisma prosimy kierować (z dokładnym wyszczególnieniem) na konto bankowe Fundacji Kresowej S.F. PKO IV O/Wrocław Nr 93549-10012-132-3.

— Na to samo konto przyjmujemy wpłaty (wolne datki na nasze pismo) za umieszczanie komunikatów, informacji, poszukiwania rodzin, oraz do rubryki z „żałobnej karty”.

— Zamieszczanie reklam, do których serdecznie zapraszamy! Są płatne wg. cennika (można negocjować cenę)

cała strona	6 000 000 zł
1/2 strony	3 000 000 zł
1/4 „	2 000 000 zł
1/8 „	1 000 000 zł
jedno słowo	10 000 zł

— Prowadzimy sprzedaż archiwalnych numerów S.F. oraz oprawionych roczników. Prowadzimy też sprzedaż wysyłkową książek o tematyce kresowej: Czartków, Stanisławów, Buczac, Stryj, oraz książek Prof. B. Prusa, J. Michotka i innych opracowań wspomnieniowych. Prosimy zamawiać, będziemy wysyłać.

W imieniu Rady Fundatorów

Prezes

mgr Jan Ziembicki

W imieniu Zarządu

Fundacji Kresowej

Dyrektor

mgr Danuta Tabińska-Juhasz



II ŚWIATOWE FORUM PRASY POLONIJNEJ

TARNÓW, 05-10. 06. 1994r.

PATRONAT

Marszałek Senatu RP
Ministerstwo Kultury i Sztuki
Wojewoda Tarnowski

ORGANIZATOR

Wojewódzki Ośrodek Kultury
w Tarnowie

WSPÓŁORGANIZATORZY

Polskie Radio Kraków,
Regionalny Ośrodek Prasy Lokalnej
Polski Południowej,
Krajowy Klub Reportażu,
Tarnowskie Echo - Magazyn Informacyjny,
Tem - Tarnowski Magazyn Informacyjny,
Międzynarodowy Kurier Reklamowy - Kijów

SUBSYDIUJE

Fundacja Kultury

BIURO ORGANIZACYJNE:

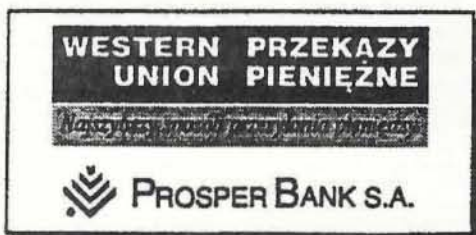
Wojewódzki Ośrodek Kultury w Tarnowie, Rynek 16

Telefony:

centrala (0-14) 21-00-92,
22-09-64,
21-72-31

sekretariat (0-14) 21-34-50
fax (0-14) 21-39-56

OFICJALNI SPONSORZY



Lista Ofiarodawców w maju i czerwcu br.

	zł		zł
Jerzy Stokłosa, Ostrowiec	30.000	Danuta Starok-Markiewicz, Trzebnica	100.000
Józef Joanna Starzecki, Wrocław	60.000	Bronisław Suchecki, Wrocław	100.000
Wrocławskie Z-dy Drobiarskie		Józefa Łesiów, Wrocław	1.000.000
Wrocław ul. Paprotna	5.000.000	J. Dobnicki, M6P IA7, Toronto	1.612.300
Tyzenhauz-Pietruska, Kraków	50.000	Zbigniew Lechowski, Wschowa	40.000
Józef Bieńko, Stalowa Wola	400.000	Roman Makarewicz, Kilavce Kawai	1.129.600
Stanisław Tarnawski, Poznań	150.000	Edmund Urbanek, Zielona Góra	50.000
Wiktor Mokanek, Jelenia Góra	200.000	Andrzej Hamuszewski, Pyskowice	200.000
Celina Matusiak-Danielewicz, Leżajsk	200.000	Klemens Krzysztofowicz, Kraków	100.000
Maria Komornicka, Nilwanek	1.121.900	Tadeusz Feczko, Przemyśl	100.000
Wojciech Spólnik, Jasło	100.000	Maria Iwińska, Warszawa	100.000
Edward Adles, Kraków	40.000	Barańska-Ryba	100.000
W. A. Podoleccy, Kielce	100.000	Mieczysław Stepkowski, Hrubieszów	50.000
Jacek Miliński, Łódź	150.000	Iwona Czaja, Brzesko	100.000
Józef Tarka, Zielona Góra	200.000	Helena i Ryszard Harojda, Zielona Góra	100.000
Andrzej Niesiołowski, Warszawa	100.000	Stanisław Trębacz, Wielka Brytania	300.00
Stan J M6P, Toronto	649.200		

Wszystkim Szynownym Ofiarodawcom składamy serdeczne podziękowania.

SUMMARY

- p. 1 — Claim of the Lwów Lovers' Society to President of Polish Republic and Prime Minister of Polish Government to establish a plenipotentiary of Polish Government for Poles and Polish Cultural Heritage in the East.
- p. 2 — Questions not always answered.
- p. 4 — Around the „STORM” action — recollections.
- p. 6 — 75th anniversary of the Jazłowiec Lancers Battle.
- p. 10-21 — Reports on the „STORM” action from various parts of Lwów.
- p. 22 — Model of Polish East Borderland family.
- p. 24 — Journalist and politicians
- p. 26 — Announcement of the Regional Commission for Investigation of Ukrainian War Crimes against Poles.
- p. 27 — Polish theatre (1842-1899) in Lwów.
- p. 37 — Hyde Park column:
 Discussion on col. Macieliński
 Letter to HPC
- p. 37 — Polish — Hungarion brotherhood.
- p. 38 — Inquiries about lost persons
- p. 39 — Current news: Meeting of senior scouts.
- p. 40 — Humorous dialog in the Lwów dialect.
- p. 42 — Report on the Society activities.
- p. 44 — From the Editor.

Sekcja Współpracy z Polakami na Wschodzie przy TML i KPW oraz KIK we Wrocławiu składa serdeczne podziękowanie p. Markowi Małkowskiemu — przemysłowcowi lwowskiemu, zamieszkałemu we Wrocławiu za bezinteresowne przewozy darów dla naszych Rodaków we Lwowie i okolicy.

ERRATA

Redakcja bardzo przeprasza Sz. P. dra Lesława Lewandowskiego, Autora artykułu „Akademia Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie” (Nr 20 S.F.) za wydrukowanie niewłaściwego imienia w części nakładu naszego czasopisma.